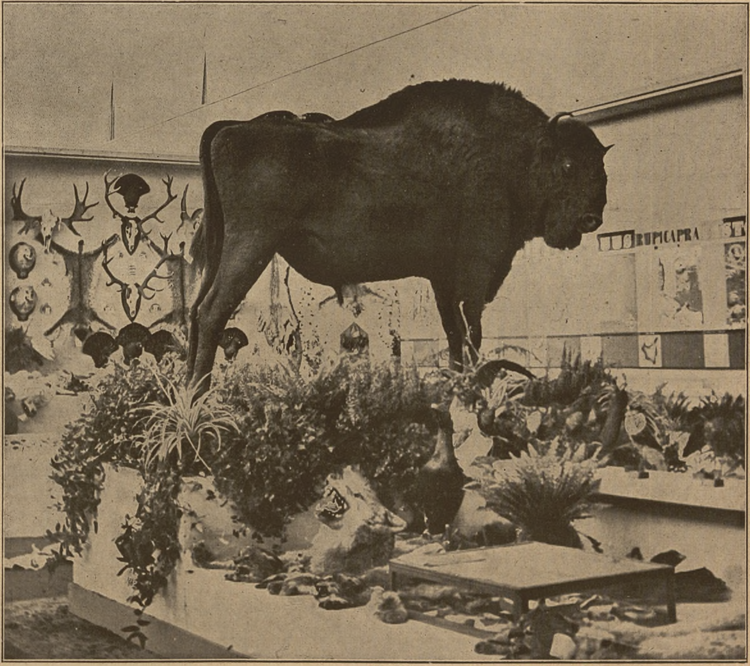
Opłata pocztowa uiszczona gotówką.

ŁOWIEC POLSKI



Fragment pawilonu polskiego na Międzynarodowej Wystawie Łowieckiej w Berlinie. Fot. J. v. Tucholka, Berlin.

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr. 32 (870) 10 LISTOPADA 1937 R.



Ściana polskiego pawilonu na Międzynarodowej Wystawie Łowieckiej w Berlinie. Portrety Pana Prezydenta Rzplitej i Marszałka Śmigłego Rydza. Fot. A. Kraśkiewicz, Berlin.

OTWARCIE MIĘDZYNARODOWEJ WYSTAWY ŁOWIECKIEJ W BERLINIE

Rozumiem aż nadto dobrze zaciekawienie, z jakiem nietylko myśliwi polscy, ale i całe społeczeństwo oczekuje wiadomości o wystawie, w której przez łowiectwo mierzymy nasze wartości organizacyjne, kulturalne i gospodarcze z innemi narodami. Trzeba zważyć, że konkurencję tworzy 27 państw, biorących udział w wystawie, a my przecież prowadzimy samodzielnie ten dział gospodarstwa narodowego zaledwie od 19-tu lat.

Z tem większą przyjemnością i wzruszeniem przystępuję do opisywania mogących nas zainteresować szczegółów, że danem mi jest w Berlinie spełniać nietylko rolę sprawozdawcy, lecz przedewszystkiem reprezentanta łowiectwa polskiego i członka Komitetu organizacyjnego działu polskiego wystawy. Z tych zatem tytułów, jakiemi raczyli mnie zaszczycić Koledzy-myśliwi, mam możliwość obserwowania wszystkich imprez, związanych z wystawą zbliska, u samego szczytu i korzystam z dostępu do tych miejsc, gdzie jako sprawozdawca prasowy nie mógłbym się dostać.

Właściwie mówiąc, wielkie święto łowiectwa światowego, jeżeli tak wolno nazwać Międzynarodową Wystawę 1937 roku, rozpoczęło się 2 b. m. o godzinie 5-ej po południu przywitaniem delegatów państw, biorących udział w wystawie, przez zastępcę Łowczego Rzeszy, pana Scherpinga. Również 2 b. m., o godzinie 8-ej wieczorem, odbyło się w operze galowe przedstawienie, które zaszczycił swoją obecnością premjer Goering.

3-go kwietnia zrana o godzinie 11-ej nastąpiło uroczyste otwarcie wystawy przy wspaniałej, szerokiej i pełnej przestrzeni wielkiej arterji Berlina, Kaiserdamm, wybudowano monumentalny gmach, w którym mieszczą się wielkie hale-salony, oddane do dyspozycji poszczególnych państw. Budynek wystawowy mierzy kilkaset metrów długości i około 50 metrów szerokości, zaprojektowany jest nowocześnie, bryłowato, przyczem wielka sala środkowa przewyższa skrzydłowe o jakieś 15 metrów. Trzeba podkreślić, że sufity sal skrzydłowych znajdują się przynajmniej na wysokości 20 metrów. Przed frontem tego wspaniałego i potężnego gmachu, na dość wysokim cokole, ustawiono rzeźbę nadnaturalnej wielkości jelenia, wykonanego w bronzie.

Już o godzinie 10-ej zrana wielki plac przed budynkiem zapełniony został samochodami i mnóstwem umundurowanych myśliwych niemieckich, członków Deutsche Jaegerschaft i służby leśnej, tworzących zwarty kordon i pełniących służbę porządkową.

Główne frontowe wejście prowadzi do tak zwanej Ehrenhalle, sali honorowej, gdzie na specjalnych postumentach, na ścianach i w gablotkach poumieszczano tylko najwspanialsze trofea świata, stanowiące rekordy międzynarodowe.

Polskie eksponaty są w tej honorowej sali najliczniejsze. Mamy tam 7 par rosoch łosia, które zdobyły pierwsze i drugie miejsce w świecie. Mamy również 3 pary wieńców jelenia, chociaż rekord światowy należy do słynnego i niezwyciężonego oddawna jelenia, zabitego przez księcia Montenuovo. W rogaczach sarn też zajmujemy pierwsze miejsce, które zdobyły parostki, należące do Hr. Mycielskiego. Dziki polskie, jak się okazało, również są nie do pobicia. W sali

honorowej bezapelacyjnie górują nad innemi eksponatami nasze rekordowe szable, zajmując trzy pierwsze miejsca w świecie. Na ogólną liczbę 10 sztuk szabel dzików, znajdujących się w Ehrenhalle, Polska liczy 6. Wspaniała skóra rysia, zabitego przez Jarosława hr. Potockiego, rozpostarta na środku dużego stołu, także przyniosła Polsce rekord. Pomimo dużej konkurencji w dziale wilków, rekord światowy należy do myśliwego polskiego, p. Sikorskiego.

Z tej honorowej sali przez obszerne, wygodne, oszklone drzwi wchodzi się na prawo do stumetrowej długości pawilonu, zajętego pod eksponaty, wystawione przez gospodarzy — przez Niemców. Przy poprzecznej ścianie szerokości 50 metrów, w samym jej środku, ustawiono mównicę. Nad nią, na tle wielkich, podłużnych okien, zwisa 13 sztandarów zielonych, godeł niemieckiego łowiectwa. Po bokach — po trzy równej wielkości sztandary narodowe niemieckie. Wzdłuż całej tej ogromnej sali zwisają sztandary wszystkich państw, uczestniczących w wystawie. Biało-czerwony sztandar — pierwszy po prawej stronie. Pomimo dnia, z podniebnego sufitu pada mnóstwo światła elektrycznego, a z boków na galerjach operatorzy kinowi coraz to próbują sprawności oślepiających jupiterów. W górze, w plafonie, podzielonym na pozornie drobne prostokąty, wśród każdego z nich dyskretnie wystaje coś na kształt żarówki. Cały sufit zasiany temi żarówkami, które się jednak nie palą. Siedzący obok książę Ratibor prostuje moje domysły.



Łoś, ubity podczas tegorocznej rui przez p. K. Endera w Ordynacji Dawidgródeckiej.

To nie żarówki, lecz krany wodociągu, mogące na wypadek pożaru zalać ulewnym deszczem najbardziej niebezpieczny ogień w ciągu jednej minuty. Tuż przy samej mównicy, bokiem do osi sali, ustawiono fotele: na lewo dla korpusu dyplomatycznego i na prawo dla dostojników państwowych. W pierwszym rzędzie po lewej stronie zajął miejsce Ambasador R. P. Lipski, delegacje narodowe wraz z towarzyszącemi paniami zasiadają w fotelach, ustawionych frontem do mównicy.

W kilka minut po 11-ej, przy dźwiękach orkiestry, w otoczeniu świty, wchodzi na salę Generalny Łowczy i Premjer Rzeszy Niemieckiej, Goering. Przechodzi wzdłuż szpaleru zwartej, umundurowanej starszyzny łowieckiej i zajmuje miejsce honorowe po prawej stronie. Na mównicę wstępuje prezydent miasta Berlina, witając w swem przemówieniu wszystkich gości, przybyłych do stolicy na wystawę. Potem 12-tu sygnalistów w zielonych mundurach myśliwskich odegrało na trąbkach kolejno kilka sygnałów, poczem pan Goering, szef rządu i Wielki Łowczy Rzeszy przemówił do zebranych, podkreślając znaczenie, jakiego się dopatruje z okazji zbliżenia myśliwych całego świata między sobą. W zakończeniu ogłosił otwarcie wystawy i przeszedł do zwiedzania poszczególnych zagranicznych pawilonów.

Polska wystawa znajduje się po lewej stronie hali honorowej, przy pierwszem wejściu z korytarza. Szczegółowy opis naszego pawilonu i wszystkich przez nas zorganizowanych działów podam w następnym reportażu. W tej chwili ograniczę się do objaśnienia, że ilość nagród, jakie zdobyły w każdym bez wyjątku dziale polskie eksponaty, przewyższa znacznie inne państwa. Oglądając ściany i stoły naszego pawilonu, zasłane gęsto, ze względu na szczupłość miejsca, trofeami i zbiorami myśliwskiemi, trofeami, na których zawieszono już nagrody, przyznane przez jury, odnosi się paradoksalne wrażenie, że posiadamy więcej nagród, niż eksponatów. W tem określeniu, przesadnie odważnem, kryje się wszakże dużo prawdy, bowiem niektóre trofea zdobią po trzy nagrody: specjalne tarcze honorowe, nagroda w dziale międzynarodowym, wreszcie nagroda w dziale krajowych trofeów polskich. Odznaczenia w postaci odpowiednich medali złotych i srebrnych, a także bronzowych, błyszczą gęsto na rogach, rożkach, skórach, wypchanych ptakach itp.

Podam teraz, jakie i ile nagród zdobyliśmy w poszczególnych trofeach: w łosiach — 8 złotych, 5 srebrnych i 10 bronzowych medali, oprócz specjalnych tarcz honorowych; w jeleniach — 12 złotych, 17 srebrnych i 32 bronzowe; w rogaczach — 13 złotych, z równoczesnem odznaczeniem tarczami honorowemi, srebrnemi i bronzowemi. Nie zdołałem dokładnie przeliczyć, takie mnóstwo nam przyznano. Dziki: 6 tarcz honorowych, 16 złotych medali, 23 srebrne i 59 bronzowych. W niedźwiedziach zajęliśmy drugie miejsce po Rumunji, jednak zdobyliśmy trzy pierwsze złote medale. W dziale wilków na 13 możliwych do uzyskania — zdobyliśmy 10 złotych, na 10 srebrnych — 9 i na 10 bronzowych — 5, zaś na sześć możliwych tarcz honorowych — Polska zdobyła pierwszą, trzecią, piątą i szóstą. W rysiach na 13 możliwych — 11 złotych medali przyznano rysiom polskim, na 11 srebrnych — 10 i na 10 bronzowych — jeden. Przy trzech możliwych tarczach, Polska zdobyła dwie pierwsze.

Przy tych wynikach, oprowadzając p. Goeringa po naszej polskiej wystawie, bez dopatrywania się przesadnych komplementacyj, przejąłem z jego ust dla przekazania myśliwym polskim opinję, że **polski dział co do jakości przedstawionych eksponatów zajmuje pierwsze miejsce** na świeżo otwartej wystawie berlińskiej.

JERZY DYLEWSKI.

OSTATNIA WYCIECZKA NA MIĘDZYNARODOWĄ WYSTAWĘ ŁOWIECKĄ

Komitet Organizacyjny Polskiego Działu Międzynarodowej Wystawy Łowieckiej w Berlinie komunikuje, że ostatnia wycieczka do Berlina dla członków Polskiego Związku Łowieckiego i ich rodzin zorganizowana będzie dnia 18 b. m.

Zgłoszenia nadsyłać należy do Polskiego Biura Podróży „Francopol" i jego oddziałów (adresy — patrz ogłoszenie na str. 639), w terminie do dnia 14 b. m.

Warunki udziału w wycieczkce podane zostały w komunikacie, zamieszczonym w N-rze 30 „Łowca Polskiego" z dnia 20 października r. b., na str. 594.



Łoś. Józef Ryszkiewicz.

JAK KNIAŹ NA KNIAZIA TRAFIŁ

Na dworze jesień kompletna, zimno obrzydliwie. Siedzę więc u siebie w pokoju i często myślami jestem głęboko w puszczy, rozpamiętując różne przeżycia z czasu tegorocznego wabu łosi.

Już dwa lata z rzędu pisałem o tem i chciałem w tym roku zastrajkować, dać tylko poprostu do „Łowca Polskiego" krótką i suchą wzmiankę o ilości i jakości zabitych łosi. Ale — właśnie to „ale". Oto miał miejsce w tym roku wypadek w mojem myśliwskiem życiu bardzo ważny, lecz — nie uprzedzajmy faktów.

Zaczynam więc wprowadzać czytelników na dalekie Polesie, jedyne miejsce poza Karpatami, gdzie zwierz dziki siedzi w swoim mateczniku, bez „paszportu", a często o jego egzystencji nikt nie wie. Nawet wytrawni gajowi oko w oko nie spotkali tego praojca rodu łosiowego, albo widząc go w niekorzystnych warunkach, nic powiedzieć o wartości jego rosoch nie mogli. Tu prawdziwa puszcza, nie z każdym łosiem spotkać się można, a wiadomo, że im starsze, tem ostrożniejsze jest to zwierzę. To nie tak, jak w Prusach Wschodnich, lub na Litwie na mierzejach, gdzie każdy byk jest w ewidencji i bezmała każdy fotografowany. Ten posmak czegoś niewiadomego, to jest ten prawdziwy czar naszej Poleskiej Puszczy.

Nie będę wchodził tu w tegoroczne udane łowy w Ordynacji Dawidgródeckiej w czasie wabu łosi. Mnie osobiście udało się w tym roku zwabić 4 łosie. Trzy z nich sam zabiłem, czwartego zwabiłem Anglikowi, Sir Paerey Loraine, na 10 kroków i ten go zabił. Od czasu kiedy zacząłem wabić łosie sam, a one na mój wab przychodzą, łowy te nabrały dla mnie jeszcze większego znaczenia uczuciowego. Przybliża to mnie więcej do tej dzikiej natury, czyniąc prawdziwym synem tej puszczy i pozwalając doznawać tego dziwnego uczucia uduchowienia.

Często słyszałem, jak gajowi między sobą mówili:

— Kiedy to Kniaź na Kniazia popadzie?

Czekałem na to... W odrodzenie rodu łosiowego w Polsce włożyłem niemało trudu, zachodów i poczynań. Gdzież więc jest sprawiedliwość? Czyż nigdy nie uda mi się spotkać z praojcem wszystkich moich łosi i ukoronować całą moją pracę ubiciem takiego, aby potem, jak to się mówi, schować sztucer do futerału i więcej do łosi nie strzelać? Oto właśnie ten wypadek w tym roku nastąpił i to zdarzenie chcę opisać. Nie wiem tylko, czy potrafię tak opisać, aby było to dość wyraźną odbitką tego wszystkiego, co widziałem i co odczułem.

Było to dnia 24 września r. b. Siedziałem już w Mańkiewiczach, w domu, powróciwszy po prawie miesięcznym pobycie w puszczy, gdzie miałem gości i gdzie kierowałem wabiarzami w czasie wabu łosi. Ubito już dziewięć łosi na dziesięć przyznanych do odstrzału. Tą cyfrą chciałem zamknąć w tym roku polowanie na łosie.

Był wieczór, kolacja się skończyła. Wyszedłem przed dom, na dwór. Choć bezksiężycowa, noc była jasna, niebo usiane gwiazdami, a hen na łąkach horyńskich unosiła się mgła. Cicho, najmniejszego wiatru, dość chłodno. Jednem słowem powinien być idealny ranek na łosie. Byłem zmęczony, ale żyłka myśliwska przezwyciężyła. Choć był to koniec września, a łosie w tym roku wcześniej wabić się zaczęły i rujki prawie już się skończyły, tem łatwiej powinno się zwabić pojedyńczego rogala, a czyż nie szkoda byłoby choć jeszcze ostatni raz w tym roku z łosiem nie pogawędzić? Decyduję się prędko, konie założone, i jadę do najbliższej ostoi łosi, do Hrużod.

Kiedy przyjechałem do podleśnictwa, wszyscy spali snem kamiennym. Budzę gajowego. Naradzamy się, dokąd iść i w drogę. Prosto z Hrużod idziemy rodzajem ostrówka, na którym rośnie stary las: jesion i dębina. Ostrówek ten ciągnie się półtora kilometra. Z lewej strony ostrówka mam stary, piękny las olchowy, z prawej strony łozę i rzekę. Naturalnie można było oczekiwać spotkania z łosiem od samego niemal wyjścia z domu.

Idziemy powoli, cicho, nasłuchując ciągle. Ranek cudowny, słychać byłoby wab łosia bardzo daleko. Na prawo od ostrówka, gdzie rośnie łoza i płynie rzeka, mgła bardzo gęsta. Tak idąc powoli i słuchając, dochodzimy do końca wyspy. Tam już stary las olcho-

wy, 200 kroków, a dalej maleńka łąka i rzeka, gdzie stała łódka gajowego. Gdy doszliśmy do końca wyspy, spostrzegłem, że to idealne miejsce, aby spróbować zawabić. Rozwidniło się już dość. Postaliśmy więc chwilę, aby posłuchać, czy łoś się nie odezwie, ale cisza panowała kompletna.

Chrapnąłem, jak łoś, po chwili zawabiłem. Przy takim ranku głos świetnie z trąbki wychodzi. Cisza. Chrapnąłem cicho, jak łosza. Nic nie słychać. Udaję buszowanie łosia. Głęboka cisza. Stoimy, słuchamy. W pewnym momencie zdało mi się, że słyszę mocne trzaśnięcie, ale gdzieś dalej, nad rzeką. Gajowy zaczyna się denerwować i prosi, abyśmy doszli do łodzi, żeby spłynąć wodą jakiś kilometr, przeprawić się na drugą stronę i pójść kladkami, gdyż wczoraj, późno wieczorem słyszał tam gruby wab. Usłuchałem.

Siadamy do jego łódki. Łódka mała, chybotliwa, a jest nas trzech, gdyż wziąłem ze sobą młodego Lubomirskiego, syna mojej siostry. Jedyny więc sposób położyć się nam dwóm w łódce, tylko gajowy staje z tyłu i odpycha od brzegu. Woda w tym roku bardzo mała, więc brzegi wysokie, wskutek czego leżąc nie możemy widzieć, co się dalej dzieje. Jedziemy z wodą, zachowując największą ostrożność, przesuwamy się wolno, jak duchy. Gajowy zaś stojąc lepiej słyszy i widzi brzegi. Nie ujechaliśmy 200 kroków, gdy ja, leżąc i obserwując gajowego, jak mistrzowsko łódź prowadzi, zauważyłem, że łódź została zatrzymana, a gajowy patrzy na lewo, na brzeg. Może coś mu zamajaczyło — taka mgła — leżę więc spokojnie.

Ale nie, w pewnej chwili zwraca oczy na mnie i oczyma pokazuje na brzeg. Znam oddawna to miejsce, tyle razy tędy łódką czy motorkiem przejeżdżałem. Wiem, że jest to łączka podłużna nad rzeką, ale szerokości ma najwyżej 50 kroków, a dalej ściana łozy. Panuje mgła ogromnie gęsta, jeśli więc gajowy zobaczył łosia, musi być na łące. Naturalnie jest to tylko moje rozumowanie. Trzeba wstać na nogi z siana, które trzeszczy, i stanąć tak, aby łódeczki nie przewrócić. Zaczyna się ciężka praca, ale jakoś się udaje i jestem na nogach. Mam ze sobą świetną lornetkę i sztucer Mausera grubego kalibru z lunetą.

Stoję więc, patrzę na łąkę, ale mgła tak gęsta, że nic nie widać. Raptem łoś rogami zaczął buszować po łozie. Odrazu zorjentowałem się co do kierunku i rzeczywiście, patrząc przez lornetkę, gdy w pewnym momencie mgła trochę się rozrzedziła, widzę jakiś kontur z opuszczoną głową. W pewnej chwili łoś przestał buszować, podniósł głowę i patrzy w tę stronę, skąd wabiłem. Widocznie słyszał przedtem wab i chciał iść w jego stronę. Należało nie ruszać się i tam go oczekiwać, ale to wszystko zrozumiałem później. Tymczasem wiem, że mam przed sobą byka, ale jakiego — nie mam pojęcia.

Nagle byk zwrócił głowę w naszą stronę. Widzę dość jasno: łeb żółty i uszy, więcej nic. Przytem zaraz mgła zrobiła się gęstsza i łoś przepadł mi z oczu.

Czekam cierpliwie, wyczuwam jednak w nogach, że łódź zaczyna dziwnie drgać. To nerwy gajowego nie wytrzymują takiego napięcia i nogi jego tak drżą. Po chwili znowu widzę sylwetkę łosia z opuszczoną głową. Rozprawia się z łozą rogami. Naraz podniósł łeb i — o zgrozo!.. Wtedy zobaczyłem kogo mam przed sobą. Takiego łosia w życiu nie widziałem. Ogromne łopaty-brony, pasemka na wszystkie strony, jednem słowem przedpotopowa zjawa. Coś mnie chwyta za gardło, czuję, że nerwy zaczynają we mnie tańczyć, pod nogami drga łódka. Nareszcie opanowuję się, rozumując, że nadziei jest mało, ale że to jedyna może okazja zdobyć takie rosochy.

Więc: spokojnie — mówię sobie, gdyż mała omyłka i wszystko przepadnie. I tak sytuacja jest arcytrudną z tą mgłą i tańczącą łódką. Próbuję znowu lornetką w momencie, gdy mgła rzednie. Widzę kontur łosia i te cudowne rogi. Podnoszę więc sztucer z lunetą i mierzę w łosia. Nic nie widzę. Luneta prawdopodobnie zaszła mgłą. Niema rady, zdejmuję lunetę i mierzę. Znowu nie widzę. Biorę lornetkę i znów widzę łosia. Biorę sztucer, mierzę, strzelać nie mogę — nie widzę. Opuściłem sztucer, biorę lornetkę. „Zabawa" ta powtarza się ze cztery razy i wciąż nie mogę zdecydować się. Ale widać św. Hubert tym razem był łaskaw, gdyż w pewnym momencie, gdy mgła trochę się zmniejszyła, udało mi się, mierząc ze sztucera, gołem okiem zobaczyć kontur zwierza. Łódka jednakże dalej tańczy, ale niema momentu do stracenia, w każdej chwili łoś, jak duch, wejdzie do łozy i przepadnie na wieki. Nareszcie decyduję się — strzelam. Ogień z lufy zaślepia mi oczy, po chwili widzę łosia, biegnącego przez gołą łąkę. Raptem zwierz staje, ale już tyłem do nas i krokiem rusza w łozę, gdzie przepada. Po chwili słyszę trzask w łozie, a później nastaje cisza.

Teraz dopiero rozluźniają się naprężone do ostateczności nerwy, nogi odmawiają mi posłuszeństwa i padam na siano w łódce. Zaczynamy wyjaśniać sytuację. Okazuje się, że gajowy, ujrzawszy łosia, spostrzegł, że to okaz nielada, a rezultat był taki, że rozdygotane ze zdenerwowania nogi wprawiały w ruch łódkę.

Obecnie najważniejszem jest przekonanie się, czy łoś trafiony, czy też nie. Gajowemu zdawało się, że łoś po strzale zgiął się i na miejscu zawrócił, ale czyż można mu wierzyć? Naturalnie, gajowy chciał biedz na miejsce strzału, odległe nie więcej, niż 50 kroków, ale nie pozwoliłem, kazałem mu siąść, sam zapaliłem fajkę — trzeba uspokoić nerwy.

Rozumiecie sami, czytelnicy, co ze mną się działo w tej chwili. W łowach na łosie mam dużą rutynę, a że strzelam kulami nieźle, zawsze wiem, gdzie kula powinna siedzieć, ale tutaj, na chyboczącej się łódce, absolutnie żadnej pewności nie miałem. Naturalnie czarne myśli przez głowę się przesuwały. Takiego łosia może nigdy w życiu nie zobaczę. Ale poco Was ciągnąć, czytelnicy, w tę czarną głębię mej duszy.

Nareszcie nadszedł ten moment, który odciągałem, jak mogłem. Wyszliśmy na brzeg. Za chwilę może wszystko się wyklaruje: czy szalona radość, czy też coś, co sam nie wiem jak określić. Zdaleka dostrzegamy gdzie łoś stał, widać połamaną łozę — dochodzimy. Oto tu łoś stał i... raptem widzimy coś ciemnego. Boże, to farba — zupełnie ciemna! Łoś po strzale, jak widać po rosie, zawrócił pod prostym kątem w tył, poszedł kłusem 40 kroków, stanął na 15 sekund, a dalej poszedł stępa do łozy. Do miejsca, gdzie łoś stał po strzale, farby bardzo dużo i zupełnie ciemna. Dalej, gdzie poszedł stępa, nigdzie farby niema. Stanęliśmy trochę zdezorjentowani. Słyszymy niedaleko trzask w łozie, ale nie w tym kierunku, dokąd łoś poszedł, i po chwili przybiega do nas dwóch gajowych. Byli oni na swoim punkcie obserwacyjnym, gdy usłyszeli strzał. Zorjentowali się, że ktoś do łosia strzelał. Nie wiedzieli kto: czy kłusownik, czy też ktoś z Mańwiewicz i, jak twierdzili, strzał musiał trafić. Jest to zadziwiające, jak gajowi, będąc o kilka kilometrów od miejsca strzału, prawidłowo określają jego wynik.

Zaczęliśmy się naradzać. Łoś stał do mnie lewym bokiem, farba jest z tej samej strony. Łoś bezwarunkowo trafiony. I tu przypomniał mi się wypadek, który miałem kilka lat temu, a tak podobny. Trafiłem na kolosalną metę łosia w wątrobę. Łoś ten identycznie się zachował. Taki sam kolor farby i taksamo raptem przestał farbować. Jak się później okazało, krwotok był wewnętrzny. Łoś poszedł wtenczas dwa kilometry i padł. Była to więc dla mnie jedyna możliwa hipoteza.

Byłem pewny, że i na Hrużodach mój strzał słyszano i że jeszcze ktoś stamtąd przyjdzie. Jakoż po chwili przybiegł do nas gajowy, który szedł tą drogą, po której myśmy szli rano, i powiedział, że idąc, sły-

szał łamanie łozy nad rzeką, na jednem miejscu. Gajowi namawiają, by iść za tropem zaraz, gdyż dużo łosi kręci się po ostępach i po południu łatwiej zgubić ślad. Zgodziliśmy się na jedno: pójść za śladem, a o ile łoś poszedł rzeką, zostawić go. W duszy niepewność i smutek. Bałem się, że może tego łosia nie znajdziemy i to właśnie tego, który byłby najlepszym w mojem życiu.

Puszczam więc naprzód jednego gajowego, który dobrze orjentuje się w śladach. Za nim idę ja, reszta zaś z tyłu, z rozkazem pilnowania, czy gdzie farby nie ujrzą. Łoś przedarł się przez łozę i poszedł wysokim, starym lasem olchowym. Na początku wszystko szło dość gładko. Świeża rosa i głębokie ślady w gruncie torfowym jasno utrwalały odbicie racic. Zauważyliśmy odrazu po śladach, że łoś z początku biegł, później przeszedł w stępa i w jednem miejscu zobaczyliśmy kroplę farby. Jest to pociecha, że idziemy dobrym śladem. Uderzyło nas, że idąc krokiem, łoś jakoś drobno idzie i że szeroko rozstawia nogi. W kilku miejscach dalej znowu trochę farby znaleźliśmy. W jednem miejscu łoś leżał, a dalej wyszedł na wyspę, przez którą myśmy rano szli, przeciął ją i poszedł przez łozy w kierunku rzeki. Tam też gajowy, idąc do nas, usłyszał trzask. Idę więc sam naprzód i dochodzę do rzeki, na której liczne bańki powietrzne wskazują, że świeżo zwierz tędy przeszedł. Dalej nie pójdziemy, posłałem tylko gajowego, który ma zaznaczyć miejsce, gdzie łoś na drugą stronę rzeki wylądował.

Posyłam po łódkę, przez nas zostawioną. Wyznaczamy ślad łosia z tamtej strony rzeki. Przechodzimy śladem 50 kroków i znajdujemy miejsce, gdzie ranny byk znowu leżał.

Wracamy do Hrużodów, poczem niewesoły, lecz z pewną nadzieją, wracam do Mańkiewicz, aby powrócić tutaj po południu i łosia dalej szukać.

Nie będę opowiadać dalej o tem poszukiwaniu. Łoś przeszedł jeden kwartał, poczem znaleźliśmy go martwego. Trafiony był w wątrobę. Jaki to był widok, sami czytelnicy osądzicie według fotografji *). Ogromny, typowy łopatacz, mający na jednej stronie 13 pasemek, na drugiej dziesięć. Najlepiej osądziła go Komisja Sędziowska w grupie łosi na Międzynarodowej Wystawie Łowieckiej w Berlinie, dając mu złoty medal. Jest to najlepszy łoś, zabity w Polsce od czasu Jej odrodzenia.

I tak puszcza moja dała mi tę najwyższą nagrodę, że „Kniaź na Kniazia wyszedł".

KAROL RADZIWIŁŁ

*) Reprodukcje rosoch opisanego łosia zostały zamieszczone w Nr 31 „Łowca Polskiego" na str. 603 i 607 *(Przyp. red.)*.



Poleska barć. Fot. T. Malicki.



Łoś z Mierzei Kurońskiej. Fot. Krauskopf.

Z MYŚLIWSKICH WSPOMNIEŃ INFLANCKICH

Na ogromnych przestrzeniach niziny Nadłubańskiej, stanowiącej przed wojną światową naturalną granicę pomiędzy ówczesną gubernią liflandzką a Inflantami Polskiemi, wówczas częścią gub. witebskiej, łosie miały najwspanialsze stanowiska w okresie od wczesnej wiosny do późnej jesieni, znajdując tu jak gdyby pełne spiżarnie żeru, a pozatem ogromną przestrzeń dla ruchu i liczne zbiorniki wody dla kąpieli, a zwłaszcza w czasie silnych upałów letnich — dla ochłody i ochrony od trapiących je komarów, kleszczy i innych owadów.

Przestrzenie te ku południowi i ku północy, powoli się wznosząc, przechodziły w ogromne lasy, ciągnące się aż ku Dźwinie na południu i do granic guberni pskowskiej ku północy, a w samej nizinie największe nasze jezioro Łubańskie z licznemi jego dopływami i jedynym odpływem rzeki Ewikszty stanowiły basen łąk i pokrytych karłowatym lasem błot, miejscami i trzęsawisk, poprzerzynanych licznemi dopływami rzeki Ewikszty, jak Wiskułą, Wiardą i innemi, oraz mnóstwem najrozmaitszej wielkości jezior i jeziorek. Za Ewiksztą zaczynały się ogromne bory liflandzkie o stałym, bogatym postoju łosi. Taksamo obfitowały w nie Inflanckie lasy, na południe i na północ leżące.

U nas, w krainie niziny Łubańskiej, lasy odsuwały się bardziej ku wschodowi i ostępy ich były odcięte od tych ogromnych pastwisk naturalnych i przestrzeni błotnistych szerokim pasmem bardzo żyznych pól, usianych licznemi wsiami, dworami i kolonjami. Tu więc, na tych błotach naszych, najczęściej rozgrywały się spotkania z łosiem i tu się odbywały nasze dawne, dość prymitywne, ale zastosowane do tyh specjalnych warunków, polowania. Łosie nie były tu stałą zwierzyną, ale przechód ich w poszukiwaniu żeru był stały, tembardziej, że od zachodu tylko szerokość rzeki Ewikszty oddzielała je od miejsca stałego ich postoju w lasach Liflandzkich.

Polowano u nas na łosie prawie o każdej porze roku, głównie zaś w końcu lata i w początkach jesieni, gdy łosie jeszcze nie skupiały się na stałych miejscach rui, położonych w suchszych miejscach borów. Polowano zawsze z gończemi, bo i jakże było dowieźć odpowiednią ilość naganki na te oddalone i tylko w czółnie dostępne miejsca ich legowisk i ulubionych pastwisk? Zresztą i otropienie łosia było w tych warunkach prawie zupełnie niemożliwe i wymagałoby zbyt długiego czasu. Polowano wówczas, gdy kosiarze dawali nam znać, że widziano łosia, lub gdy rybak Arman, niedaleko od głównego ostępu, nad rzeką Wiskułą mający swą rybaczą chatynkę, dawał znać że łosie się pokazują.

Gdyśmy z braćmi, albo z którymś z krewnych, przyjeżdżali w te odległe Birżańskie strony, w których matka nasza i jedna z ciotek miały swe posiadłości, celem naszych polowań były zazwyczaj kaczki, cietrzewie, pardwy, dubelty, bataljony i inne ptactwo błotne. Zwykle jednak czyhali na taką chwilę liczni miejscowi nemrodzi — oficjaliści, którzy pod pretekstem akurat wówczas widzianych łosi, namawiali nas na wyprawę na nie. W nadziei, że a nuż spotkamy tę pożądaną zawsze zwierzynę, zwykle zgadzaliśmy się na to polowanie, chociaż bardzo często spotykał nas zawód i to trochę do tych wypraw zaczę-

ło nas zniechęcać. A jednak sama wyprawa była dość nęcącą rozrywką, tembardziej, że po drodze można było spotkać się z kaczkami, kulikami, a w samym ostępie zdarzało się też ubić kozła.

Raz jeden pokazał się na tem błocie jakiś biedny, mały, szarobury bielak, a raz stary gończy wypędził na mnie głośnym gonem żórawia, widocznie odprowadzającego psa od swego gniazda.

Pamiętam jednak też i takie polowanie, na którem ubito 3 łosie w ciągu 2 dni. Dwa z nich padły w naszym zwykłym ostępie na Domontyni, a jeden znacznie dalej. Gdy te trzy łosie znalazły się obok siebie, wyciągnięte na brzeg przy budce rybaka, a wszystkie trzy były wypadkowo jednolatkami, mającemi po 3 pasemka u rogów, uderzyła mię ogromna różnica ich zewnętrznego typu. Dwa z nich, ubite na błotach Domontyni, były zupełnie jednakowe, o maści jaśniejszej od 3-go, bardziej szare, o krótkim stosunkowo tułowiu, długich nogach, których odcień jaśniejszy stopniowo przechodził w ciemniejszą barwę tułowia, z brodą szczeciniastą i o rogach palcowatych. Trzeci był zupełnie inny. Rogi miał łopaciaste, tułów dłuższy, nogi krótsze, silnie odbijające jasną barwą od ciemno - brunatnego tułowia, a zwłaszcza grzbietu, brodę mięsistą, zakończoną niedługą szczeciną.

Gdybym prawidłowo mógł odczytać te zjawiska przyrody, tobym powiedział, że typ tego ostatniego łosia, to typ łosia borowego, mieszkańca bardziej suchych, borem pokrytych miejscowości. Dwa inne okazy, to mieszkańcy błot i bagien. Jednemu, jak i dwóm drugim, przyroda jakby przystosowała odpowiedni ubiór do warunków ich życia i dała im odpowiednią budowę ciała. Czy tak jest jednak w istocie?

Zazwyczaj padało u nas w ciągu roku przy takich polowaniach od 1 do 3 łosi. Przewożono je czółnem aż pod sam ogród dworu mojej ciotki i albo tu pozostawały, albo przewożono je o 35 wiorst, do siedziby moich rodziców. Skóry łosi wyprawiano na zamsz i otrzymywaliśmy je w darze na nasze łóżka. Dotąd śpię na skórze inflanckiego łosia. Daje mi to pewien chłód i gładkość prześcieradła, które się nigdy nad skórą nie ściąga.

Sama wyprawa tak się przedstawiała: czółna czekały nas pod ogrodem ciotki, na Paukli, małym dopływie Wiskuły. Około 5 gajowych, ze 2 sfory gończych i zwykle nie więcej, niż 4—5 myśliwych, wyruszało na noc do budki rybaka Armana, odległej od Bonifacowa o jakieś 5—6 wiorst. Czasem jednak myśliwi wyruszali w nocy, by przy budce stanąć nad ranem. Rzeka Wiskuła wiła się wśród łąk, zwanych tu Kłonami, ale kanały, przekopane kiedyś w dawnych czasach, któremi prześlizgiwała się flotylla naszych duszehubek, bardzo skracały nam drogę. U rybaka na wzgórku nocowało się przy ognisku, lub w dnie chłodniejsze w jego miniaturowej, na palach stojącej, jednoizbowej chatynce. Wiosną woda równała się z progiem chaty, a wokoło nie było nic widać, prócz wody, okolonej zdala zieleniejącym brzegiem zarośli. Jednak nocleg w tej izdebce był o tyle niewesoły, że snu nie można było złapać z powodu ciągłej walki z miljonem wokoło skaczących pcheł.

Na wieczerzę gotowała się zawsze w kotle wspaniała zupa ze świeżo z węcierzy przez rybaka wybranych ryb, a tego dobra było zawsze poddostatkiem, bez względu na ilość ugaszczanych osób. Okonie, szczupaki, liny stanowiły zwykłą kombinację zupy, czasem trafiały się sumy, a na dodatek też i węgorze. Taki sum, o ile się przytrafił w jakiej małej zatoce, a był metrowej długości, stawał się czasem i nieprzyjemnym dla czółna.

Stary Arman, ubrany tylko w zgrzebną koszulę i takież portki, zawsze uśmiechnięty i pełen krotochwili, po dostarczeniu ryb stawał zawsze przy ognisku i stale się drapał. Przytem opowiadał, gdzie i kiedy widział pasące się lub kąpiące łosie podczas swego rybobrania.

Tuż za budą rybacką zaczynało się niezbyt duże jezioro Wieja, całe porosłe oczeretem, z wyjątkiem dróg, któremi się stale przemykały czółna. Wspaniałe miejsce na kaczki, zrana podnoszące się tuż przed czółnem. Rzeka Wiskułka szła od budki dalej ku zachodowi, a my do naszego ostępu skręcaliśmy ku południowi małym kanałem, łączącym rzekę z jeziorem i poprzez jezioro Wieję wjeżdżaliśmy w rodzaj jego dopływu, coraz to bardziej zwężającej się rzeczki, dojeżdżając prawie aż do ślepego jej końca pod karłowatym lasem.



Piękna grupa grzybów. Fot. J. Donimirski.

Stąd szła ku zachodowi przez błotnisty las zimowa droga w stronę jeziora Łubanu i Liflandji, opierając się latem o nadbrzeżne nadłubańskie łozy i łąki. Droga ta, najlepsze nasze stanowisko na łosie, szła lekkiemi skrętami przez las na przestrzeni około 2 wiorst. Las ten, zwany Domontynią, ciągnął się w górę, ku widłom rzek Ewikszty i Wiskuły, na jakieś 4 wiorsty i ze strony zachodniej opierał się o brzeg Ewikszty, stanowiący zarazem granicę Liflandji, z drugiej zaś strony, od wschodu, o jezioro Wieję i łąki, poza któremi znowu zaczynało się karłowatym lasem pokryte błoto. Czwartą stronę stanowiła wspomniana wyżej zimowa droga.

Gdy więc łoś, ruszony przez psy i strzały gajowych od strony ujścia rzeki Wiskuły do Ewikszty, obierał kierunek swej ucieczki, to miał do wyboru tylko kierunek na drogę zimową, o ile nie przechodził przez Wieję ku dalszym Inflanckim błotom. To się jednak zdarzało rzadko. Najczęstszym kierunkiem była droga, poza którą otwierały się dla łosia nowe drogi ucieczki na błota Bykowskie i las rządowy, i dalej ku południowi na lasy Warklańskie. Przejścia łosia wpław przez rzekę Ewikstę nie pamiętam.

Dwuwiorstowa droga była zazwyczaj strzeżona tylko przez 3 do 5 myśliwych. Oczywista rzecz, że ta obsada była śmiesznie rzadką. Pozatem oczekiwanie na łosia przez długie nieraz godziny na skwarze letnim wymagało pewnej wytrzymałości. Nim się coś

usłyszało, sen po zwykle dość bezsennej nocy kleił powieki, a tylko dokuczliwe chmary komarów nie dawały zasnąć na dobre. Nie pomagał tu dym papierosa, ani też żadne olejki. Jedyną obroną było stałe powiewanie gałązką brzeziny. Nieraz liczyłem dla sportu, ile komarów zabiję za jednem uderzeniem dłoni po udzie. Zwykły rezultat był około 20—30 komarów, ale raz doścignąłem rekordu aż 80 sztuk. Oczywista rzecz, że w razie usłyszenia gonu trzeba było pilnie śledzić jego kierunek i w razie kierowania się gonu na drogę, trzeba było cicho (byliśmy ubrani zawsze w łapcie) posuwać się po drodze w kierunku gonu, by w ten sposób zgęścić linję myśliwych. Bywało, że zamiast łosia ukazywała się jakaś inna zwierzyna. Ale zdarzało się naodwrót, przynajmniej za moich czasów raz jeden, że łoś niepostrzeżony przeszedł pomiędzy stanowiskami moich, zapewne wówczas słodko drzemiących starszych braci... i oczywiście już nie powrócił.



Gorgany. Na zrębie. Fot. Dr. J. Bleszyński.

Jednego razu przyjechałem sam do mego najstarszego, mieszkającego w tych stronach brata. Miałem zamiar zapolować tylko na ptactwo, a posiadałem w owym czasie tylko pierwszą moją dubeltówkę, leciutką, składną, 24-kalibrówkę, dar ś. p. mego Ojca. Biłem z niej zające i lotną zwierzynę, ale nic ponadto. Gdy miejscowa brać myśliwska dowiedziała się o mojem przybyciu, zaczęło przesyłać mi wieści, że w Domontyni pokazały się łosie i że trzeba na nie koniecznie zapolować. Trzeba było uledz. Ale tak dalece nie wierzyłem tym wieściom, że wyjechałem, nawet nie posiadając kuli do mojej ptaszniczki, miałem bowiem już trochę doświadczenia pod tym względem. Jednak każda taka wyprawa posiadała pewien urok myśliwski.

Gajowi z gończemi wyruszyli już na noc do budki rybaka, a ja ze starszym bratem, który nawet nie miał żyłki myśliwskiej, oraz z Garbackim, ogrodnikiem, zawołanym myśliwym, mieliśmy wyruszyć nocą. Ledwośmy jednak wyruszyli naszem czółnem, dalekie dotąd grzmoty zaczęły się szybko zbliżać, to też ledwośmy zdążyli opuścić czółno i schronić się pod najbliższy stóg siana, gdy lunął ogromny, rzęsisty deszcz i burza rozszalała się na dobre. Pioruny bić zaczęły coraz częściej, a oślepiające swem liljowem światłem błyskawice oświecały równinę łąk, sterczące tu i owdzie na niej stogi i jeszcze niezbyt od nas dalekie lipy ogrodu. Jednak burza przed świtem się skończyła i jeszcze w czas trafiliśmy do punktu zbornego przy budce rybaka.

Z tego miejsca rozdzielały się drogi uczestników polowania. Trzech gajowych ruszyło z psami ku widłom rzecznym, a reszta, t. j. mój brat, Garbacki, jeden gajowy i ja ruszyliśmy czółnem przez jezioro Wieję ku naszym stanowiskom na drodze zimowej. Pierwszy stanąłem ja, potem mój brat, za nim Garbacki, a w końcu, ku łąkom nadłubańskim, gajowy. Nim jednak zająłem stanowisko, powiadam gajowemu, że nawet kuli nie mam. Po naradzie wyjmuje on swą okrągłą ołowianą kulę z kieszeni i zaczyna ją nożem obrzynać. Wyszła z tego podłużna kula z zaokrąglonemi obu końcami, przechodząca przy próbie gładko przez moją 24-kalibrową lufę. Wyjąłem nabój i opróżniwszy go ze śrutu wpakowałem doń tę improwizowaną kulę, zagiąwszy końce naboju palcami. Posiadałem więc ten jedyny „groźny" pocisk.

Zamarłem na swem stanowisku, z pociskiem domowej roboty. Tłukłem komary i drzemałem naprzemian, sceptycznie zapatrując się na to zaimprowizowane polowanie, lecz w tem coś słychać, jak gdyby gon — nie gon? Nasłuchuję — tak: gon, najwyraźniej. Staje się nawet coraz wyraźniejszym, widać zwierzyna idzie ku linji, jednak trochę jak gdyby w lewo ode mnie, wgłąb drogi. Cichutko posuwam się w swoich łapciach w stronę jeziora, lecz gon jak gdyby znowu się zwrócił w moją stronę. Coraz wyraźniej go słyszę i zaczynam trochę nerwowo dygotać. Gon idzie teraz wprost na mnie i jest zupełnie wyraźny. Wypatruję pomiędzy pnie brzeziny i wtem ukazuje się — sunący na mnie kłusem — łoś. Dopuszczam go spokojnie na jakieś 50 kroków, łoś mię zoczył i trochę zwrócił na lewo, odsłaniając komorę. Strzał. Łoś daje ogromnego susa i galopem uchodzi ku lewej ode mnie stronie, znikając pomiędzy drzewami. Stoję ogłupiały. Chyba spudłowałem?

Wkrótce przebiegają z głośnym gonem psy. Słucham. Gon prawie zaraz zmienia się w oszczekiwanie jakby na miejscu. Co to? Chyba łoś stanął? Bez namysłu ruszam biegiem w tę stronę i w tejże chwili pada stamtąd strzał, a potem słychać tryumfalny okrzyk. Dopadam miejsca oszczekiwania, patrzę — leży łoś, obstąpiony przez oszczekujące go psy. Za niemi stoi jeden z gajowych, który był poszedł z gończemi.

Nadbiega Garbacki i pyta, kto łosia zabił. Opowiadam cały przebieg. Przecież łoś po pańskim strzale stanął — powiada Garbacki. Pyta gajowego o przebieg. Ten, trochę skonfundowany, powiada, że gdy nadbiegł, łoś wprawdzie leżał, ale bił nogami i bronił się od psów rogami, więc on w obawie, że może psy pokaleczyć, strzelił mu w głowę. Podnosimy łosia. Z wielkiej rany płucnej silnie bucha posoka. Innej rany niema. Rozglądając się dokoła, spostrzega Garbacki świeżą kulową ranę brzozy tuż u głowy łosia, na wysokości ćwierć do pół metra. A to co? — pyta gajowego. Wówczas gajowy, zdejmując czapkę i skrobiąc się w głowę, odpowiada. „Widocznie spudłowałem".

Nadchodzi mój brat i reszta gajowych. Zabieramy ich strzelby, a gajowi owijają wszystkie cztery łosiowe nogi w ukręcone młode brzózki. Przez nozdrza przesuwają smycze gończych i haida z błota do czółna ze zdobyczą... Łoś był młodym 3-latkiem. Kulę znaleźliśmy u prawego uda pod skórą. Przebiła zatem płuca i wnętrzności ukośnie i uwięzła, napotkawszy zapewne kość. Nie była zdeformowana i łatwo przechodziła nadal przez moją ptaszniczkę.

U rybaka czekała nas wspaniała zupa ze świeżych ryb. Gajowi piekli nieodzowną w takich wypadkach wątrobę łosiową na rożnie. Delektował się nią i stary Arman, który chyba miał dość swej wiecznej ryby. Potem nastąpił powrót naszej flotylli z ubitym łosiem do domu.

Jakże często zawodzą nasze wyrachowania i nadzieje, a bywa czasem, że spadnie na człeka jakiś nieoczekiwany los. Wprawdzie w myślistwie może częściej, niż na loterji, ale i tu nie tak często, jak głosi niemieckie przysłowie: „Unverhofft—kommt oft".

JÓZEF MANTEUFFEL

JESZCZE W SPRAWIE ROSOCH ŁOSI

Ożywiona wymiana zdań, tocząca się w niemieckiej prasie łowieckiej na temat przyczyn formowania się kształtu rosoch łosia, którą starałem się streścić w szeregu notatek sprawozdawczych—ale która nie wywołała oddźwięku wśród naszych hodowców i myśliwych — zachęciła do zabrania głosu także najbardziej bodaj kompetentnego wśród niemieckich hodowców łosia, p. von Kobylińskiego, zwanego popularnie „der Elchvater".

W dłuższym artykule, zamieszczonym w „Wild und Hund" (Nr. 24/1937) i popartym przez liczne zdjęcia rosoch, p. Kobyliński wypowiada się zarówno przeciwko tezie istnienia dwóch różnych ras łosia: łopotacza i badylarza, jak również przeciwko wyolbrzymieniu znaczenia odżywiania lub wpływu warunków zdrowotnych na kształt rosoch.

Lepsze lub gorsze warunki odżywiania mają niewątpliwy wpływ na masę poroża, ich wielkość i wagę, ale żadnego na kształt rosoch. Podobnie i złe warunki zdrowotne, tembardziej epizootja, a nawet uszkodzenia traumatyczne wpływają na zniekształcenie poroża wszystkich cerwidów, nietylko łosia, ale forma jeleniowa rosoch nie jest zniekształceniem chorobowem, gdyż posiadają ją często okazy najsilniejsze.

Toteż zdaniem p. Kobylińskiego zjawisko istnienia w Europie obok łosi o typowych łopatach, także łosi o rosochach typu jeleniego i to w ilości znacznie przewyższającej łopatacze, jest wyłącznie wynikiem trwającego od tysiąca lat odstrzału byków najlepszych, o najwspanialszych rosochach-łopatach.

W czasach nietylko przedhistorycznych, ale i wczesnohistorycznych nie znano innych łosi, jak o potężnych łopatach, o czem świadczą zarówno wykopaliska szczątków łosi, jak rysunki i opisy współczesnych. Trwało to do czasu, póki łosie, zarówno z inną zwierzyną, traktowano jako źródło zdobyczy mięsa i skór. Z chwilą kiedy rozwój rolnictwa oraz hodowli zwierząt pozbawiły łowiectwo tego utylitarnego celu, a polowanie na łosie nabrało cech zabawy rycerskiej i sportu, zwrócono główną uwagę na zdobycie pięknego trofeum, a tem były wspaniałe rosochy.

Coraz większa, w miarę udoskonalenia broni, możność dokonywania tej selekcji i coraz szerszy zakres osób, praktykujących łowiectwo, sprawiły, iż z każdym rokiem ubywało reproduktorów - łopataczy, a przeciwnie zwiększała się stosunkowo ilość odmiany łosi o rogach jelenich, odmiany pozostałej zepewne przypadkowo, ale sztucznie przez myśliwych ochranianej, jako nie przedstawiającej trofeum dostatecznie cennego. Tego rodzaju selekcja à rebours, trwająca od tysiąca lat, dała właśnie w wyniku zauważoną powszechnie w Europie przewagę łosi o rosochach typu jeleniego, oraz typu pośredniego — z małą łopatą, a długiemi pasemkami.

Stojąc na tem stanowisku, p. Kobyliński wnioskuje konsekwentnie, że droga do zmiany tego stanu rzeczy i przywrócenia ilościowej przewagi łosi o rosochach - łopatach, musi być odwrotna do tej, którą społeczność myśliwska kroczyła dotąd. Mianowicie należy przy odstrzale łosi dążyć do zmniejszenia ilości reproduktorów-badylarzy, a zwiększenia byków-łopataczy. Kształt poroża jest cechą dziedziczną i po ojcu - łopataczu, a jeszcze bardziej po matce z ojca-łopatacza (bo cechy genetyczne matki przekazywane są najczęściej potomstwu męskiemu), oczekiwać należy z pewnością potomstwa o rosochach-łopatach.

Że to założenie teoretyczne ma wszystkie cechy wskazania praktycznego, wskazują na to wyniki wprowadzonego przez tegoż p. Kobylińskiego w Prusach Wschodnich systemu selekcyjnego odstrzału łosi. Dzięki obowiązującemu od szeregu lat przymusowi odstrzału pewnej ilości byków - badylarzy, a szanowania byków - łopataczy, stosunek wzajemny obu tych odmian poroża uległ całkowitej zmianie i wśród łosi wschodnio - pruskich przeważa dziś wydatnie typ łosia - łopatacza.

J. GIEYSZTOR

Puszcza jodłowa

Na zwałach skalnych się wypiętrza
jodłowych pni surowy zastęp.
Poranek drzewom dumnym, starym,
spojrzenia śle coraz gorętsze —
paproci pieści liść pierzasty,
wykroty, złomy i konary,
kolumny pni pozłoca hojnie.
A cisza wielka wieków tchnienia,
przeszłości baśń zaklęła w sobie.
Gromadką, jak paziowie strojni,
jawory młode w jodeł cieniu
wyrosły — na praojców grobie.
Samotny borsuk swą pustelnię
pod stokiem Świętej Katarzyny
założył w głębi skał zwietrzałych —
tam, gdzie panują niepodzielnie
na gołoborzach jarzębiny,
wzniecając życie w martwych zwałach.
Szemraniem zdrojów rozdzwoniona
Jodłowa Puszcza ranek wita.
Nieśmiały, cichy szczebiot ptasząt
w milczeniu wieków ginie, kona...
A cienie, w gąszczu drzew ukryte,
zbyt śmiałe blaski słońca gaszą.
I drzemią jodły dumne, stare...
Korony buków kopulaste
Świątyni ocieniają wnętrze,
rozpościerając wszerz konary...
Potężnych pni milczący zastęp
na zwałach skalnych się wypiętrza.

W. L. v. Falkenau.

STRZELANIE DRAPIEŻNIKÓW PRZY JAMACH

(Ciąg dalszy).

Pora od 15 października do 15 marca najlepiej nadaje się do polowań na jamach.

W jesieni, t. j. do połowy listopada, napotyka się po jamach dużo wędrownych borsuków, szukających odpowiedniej nory na leże zimowe.

Lisów w tym okresie w jamach się nie spotyka. Gdy spadną pierwsze śniegi i obielą pola i lasy, wówczas przez jakieś dwa tygodnie lisy, zwłaszcza młode, nie przyzwyczajone do tego widoku, żerują po nocach, dnie zaś spędzają w norach. Jest to okres do polowań na jamach bardzo dobry. Najlepszym zaś z w ł a s z c z a d o p o l o w a n i a n a l i s y jest czas cieczki lisiej, t. j. od połowy stycznia do połowy lutego.



Rysunek autora artykułu.

W okresie tym zastaje się w rewirze zazwyczaj moc śladów lisich, choć przy wielu jamach śladów zupełnie niema i nic nie wskazuje na to, by jamy były uczęszczane.

Są to jamy zamieszkałe przez samce, które w tym czasie, spragnione miłosnych wrażeń, do jam swoich nie przychodzą zupełnie, tylko cały czas godów weselnych spędzają w towarzystwie wybranki serca, w jej norach, t. zw. gniazdowych. Dlatego trzeba się zawsze dużo nachodzić, obchodząc w danym rewirze kolejno wszystkie znane jamy, zanim natrafi się na liszkę i jej chwilowych wielbicieli.

Zabawa, która wtedy powstaje, sowicie wynagradza trudy i zawody poprzednio doznane. Po wejściu psa do takich jam, cała niewierność i niestałość męska lisiego rodu zarysowuje się jaskrawo, na tle pięknej przyrody. Lisy-psy, które w norach bogdanki bawią tylko przygodnie, nie znają jam dobrze, więc nie czują się w nich bezpiecznie. To też po zaatakowaniu przez psa pozostawiają natychmiast, sromotnie, wybrankę serca jej własnemu losowi i wieją na wyścigi, często po 2 i 3 naraz. Ostatnia wyskakuje zazwyczaj opuszczona liszka.

Sam akt parzenia odbywa się poza obrębem jam. Tylko liszka niedojrzała jeszcze do pokrycia, a napastowana bez przerwy przez rój natrętnych wielbicieli jej wdzięków, chroni się do swych nor, by znaleźć chwilowy spokój. Wówczas cały orszak weselny, złożony z awanturujących się samców, podąża za nią. Podobnie dzieje się wtedy, gdy liszka, syta upojeń miłosnych i znudzona, chce się pozbyć natrętów i ucieka do nory.

W tym czasie napotyka się często od 3 — 7 lisów w jednych jamach, a wszystkie uciekają prędko i dają sposobność myśliwemu do wielu bardzo dobrych, urozmaiconych i niezwykłych strzałów.

Uproszony przez mego kuzyna p. A. L., filozofa z zawodu, wziąłem go przed laty ze sobą z początkiem lutego do Zimnej Wody na lisy. Zima była łagodna, choć po lasach leżały metrowe śniegi. Nad ranem spadła ponowa i była silna zadymka, rano nastała pogoda słoneczna przy 0°C.

Przybywszy do lasu, brnęliśmy przez cały dzień w śniegu, obchodząc kolejno wszystkie znane jamy. Wszędzie zastawaliśmy przeraźliwą pustkę. Kuzyn, zmęczony i zniechęcony, narzekał na mnie i chciał wracać do domu. Ja zaś starałem się wytłomaczyć mu, że na polowaniu na lisy nie można się zrażać i należy wytrwać do końca, zwłaszcza że jeszcze parę jam wypadało obejść.

Tak schodził nam czas na trudach, sprzeczce i narzekaniu. Wreszcie pod wieczór pozostały jeszcze jedyne jamy do zbadania. Położone były w czystem polu, na wyniosłości, w znacznej odległości od lasu. Siadamy więc na sanie i jedziemy, choć kuzyn protestuje energicznie. Jamy te leżały 250 m. od gościńca.

Kuzyn, któremu wygodne leżenie bardziej przypadło do gustu, niż brnięcie w śniegu, pozostał na saniach, ja zaś wziąłem dubeltówkę oraz suczkę pod lewą pachę i pobrnąłem ku jamom. Zastałem jamy tak gruntownie zawiane, że nawet nie można było rozeznać, gdzie one się znajdują. Śladów żadnych nie było, tylko jednolita, gładka powierzchnia śniegu... Orjentowałem się jedynie co do miejsca.

Gdy tak chodzę i szukam, jedna noga moja wpada w zasypany otwór. Momentalnie silny smród lisi uderzył z otworu. Nora, dotąd spokojna, zjeżyła grzbiet i zaczęła się gwałtownie wyrywać.

Zaledwie zdążyłem puścić sukę i odstąpić o 2 kroki od otworu — wyskoczył lis i został ubity. Na strzał zerwał się zając, który spał w pobliskich krzakach i pobiegł w kierunku sań. Kuzyn zauważył zająca i ucieszył się z mego pudła. Tymczasem wyskoczył drugi lis i podzielił los poprzednika, a za chwilę wyskoczyła liszka, która również trafiona ułożyła się na puszystym śniegu o jakieś 30 m. od swych wielbicieli.

Kuzyn, któremu ta strzelanina wydała się ostatecznie podejrzana, wyskoczył z sań i podążył w moim kierunku. Zaznaczyć muszę, że kuzyn był krótkowidzem i bez szkieł nie widział nic. Pech chce, że w głębokim śniegu potyka się, pada, a szkła zlatują mu z nosa.

Ja powracam z pola i ciągnę 3 lisy, a obok mnie kroczy zadowolona suka. Zastaję kuzyna, leżącego i macającego śnieg przed sobą. Szukał, biedaczysko, szkieł, których oczywiście nie znalazł i bez nich do domu musiał powrócić. Oto, co znaczy prawdziwy „filozoficzny pech"!

Stan pogody odgrywa w polowaniu na jamach stosunkowo małą rolę. Zastawałem już lisy w jamach przy bardzo dobrej pogodzie jesiennej i zimowej. Często zaś podczas słoty, zwłaszcza długotrwałej, zasta-

wałem jamy puste. Natomiast gdy po pięknej, pogodnej nocy, nad ranem padał deszcz lub śnieg, albo rozpoczęła się kurzawa, wówczas jamy były obsadzone.

Takie dnie nadają się zwłaszcza do kontrolowania jam. Lis, obmoknięty w ciągu nocy, zazwyczaj do jam nie wraca, tylko robi sobie leże w trawie lub krzakach, gdyż nie chce przemoczonego futra zanieczyścić piaskiem.

Przy obchodzeniu jam należy być zawsze stanowczym i konsekwentnym: nie zrażać się chwilowem niepowodzeniem; nie pomijać żadnych jam bez względu na to, czy ślady nazewnątrz istnieją, czy też nie — rozstrzygnięcie tej zawiłej sprawy należy zawsze poruczyć bez zastrzeżeń swemu dobremu i rutynowanemu psu. Nie można nigdy zmuszać psa do przeszukiwania jam, skoro ten nie okazuje do tego ochoty. Zdarza się bowiem często, że zewnętrzne ślady wskazują na obecność lisa, a mimo to pies okazuje małe zainteresowanie się jamami, czynność swą ograniczając jedynie do obwąchania otworów nazewnątrz, a do wnętrza iść nie chce.

Moja niezapomniana Nora do pustych jam nie wchodziła nigdy, to samo robiły i inne rutynowane psy. Dlatego z całą stanowczością zapewnić mogę, że dobry pies uczęszczanych jam nie pominie nigdy. Zmuszaniem zaś, a zwłaszcza batami, można najlepszego psa odstraszyć od jam na zawsze.

Nieraz przy pobieżnem badaniu jam, zwłaszcza po ponowie, świeżutkie ślady w kierunku otworu wykazują niezbicie, że lis jest w jamie. Pies zwolniony, pomimo świeżego śladu, wchodzi niechętnie do jamy, bawi w niej zazwyczaj przez pewien czas, a następnie wychodzi zniechęcony i zdegustowany, a mimo zachęty z powrotem iść nie chce. Wówczas po dokładnem zbadaniu okazuje się, że tropy, które brało się za lisie, są śladem gronostaja. Pies ścigał go jakiś czas po jamach, następnie gronostaj skrył się w jednym z własnych chodników, wykopanych w jamach lisich, dokąd naturalnie pies za nim podążyć nie może i zniechęcony wychodzi.

Zdarza się, że pies, który początkowo zdradzał wielkie zacięcie i atakował, po pewnym czasie wyszedł zniechęcony, pomimo że ślady nazewnątrz wykazywały obecność lisa. Jak już poprzednio wspomniałem, zachodził tu wypadek, że jamy posiadały 2 warstwy chodników. Lis ścigany przez psa schronił się do niżej położonych chodników. Przejścia te są zazwyczaj ciasne i prawie pionowe, to też w żaden sposób nie może pies podążyć za lisem. Kopać też nie może wówczas, gdyż kopanie w kierunku pionowym jest dla psa niemożliwe. Więc zniechęcony wychodzi z jamy. Nie można wówczas w żadnym wypadku zniewalać psa do bezcelowego chodzenia po dziurach, tylko trzeba na ten dzień zrezygnować z tych jam i udać się w dalszą drogę, licząc na to, że może przy następnych jamach szczęście lepiej dopisze.

Możnaby wprawdzie, znając dokładnie dane jamy, uczynić wykop aż do niższej warstwy chodników i tam psa wpuścić. Jednak robić tego nie radzę, gdyż jest to praca zazwyczaj bardzo ciężka i trudna, a w rezultacie niepewna. Pozatem wskutek kopania uszkodzone zostaną jamy, co w następstwie spowoduje unikanie ich przez szkodniki zwykle na czas dłuższy. A tak po paru dniach można lisa zastać ponownie w dziurach. Wówczas, dobrze naciśnięty przez psa, wyskoczy on łatwo i zostanie ubity.

Nieraz, zwłaszcza przy jamach założonych śniegiem, jak to opisałem poprzednio, pies z pasją czyni przekop w śniegu, znika pod ziemią i wkrótce wysadza nierzadko kilka lisów. Dlatego trzeba stale pamiętać o tem, że zwłaszcza w zimie pozory często mylą. Jedynym miarodajnym czynnikiem jest niezawodny pies i na nim tylko polegać można.

Na jamy należy udawać się z dwoma psami. Wpierw wpuszczać do jam psa, ułożonego do wypłaszania szkodnika, a ignorującego borsuki. Dopiero gdy ten swoje załatwi, a ma się zamiar tropienia borsuków, należy pierwszego psa przywołać i uwiązać, a wówczas dopiero zwolnić z obroży drugiego, ułożonego do osaczania w jamach i do atakowania borsuków. Obydwóch psów razem nie puszczać nigdy, gdyż wówczas zepsuje się bezpowrotnie pies do wypędzania, bo nauczy się wyczekiwać pomocy z góry. Pies, atakujący w jamach w pojedynkę, ma wolne pole działania, a w razie gwałtownych ataków lisa czy borsuka, może się cofać swobodnie i w ten sposób unikać ciosów. Skoro zaś w chodniku przed drapieżnikiem leżą 2 psy, to pierwszy z nich jest obezwładniony przez drugiego, napierającego od tyłu, a tem samem wystawiony na ataki, których uniknąć nie może i w rezultacie wychodzi często kaleką. Dlatego radzę, choćby tylko z tego względu, by psu umożliwić walkę i obronę, puszczać je pojedyńczo do jam.



Suchodół. Górski zrąb. Fot. A. Piasecki.

Raz w Zimnej Wodzie lis wysadził Norę z jamy, stanął w otworze, wychylił się do połowy i odcinał się atakującej suce. Wówczas zwolniłem psa, który błyskawicznym atakiem uchwycił lisa za gardło i udusił. Innym razem w Zubrzy lis wycofał się tyłem, głową zwrócony ku atakującemu psu, zad wystawił z jamy a o ucieczce nie myślał. Wówczas zwolniony drugi pies uchwycił lisiurę za portki, a atakujący w jamach za gardło i wyciągnęły go z jamy.

Do jam należy podchodzić na 15 kroków pod wiatr, zazwyczaj w ten sposób, by nie robić śladów przy otworach, i zgóry rozpatrzeć sytuację. Wiatr ma być od jam. Śladów nie badać, gdyż to i tak nie daje żadnych korzyści, a jednak utrudnia przez niepokojenie jam samo polowanie. Obrawszy sobie tedy stosowne miejsce do wystrzału, należy zwolnić psa i jemu powierzyć dalszą akcję. Pies zwolniony zazwyczaj przekontroluje otwory i albo powraca, nie zdradzając zainteresowania, albo też znika pod ziemią. Należy wówczas uzbroić się przedewszystkiem w cierpliwość i spokojnie wyczekiwać pojawienia się szkodnika, jak lis, borsuk, kuna, tchórz, wydra, gronostaj, kot dziki lub zdziczały.

Często się zdarza, że po wejściu psa do jam lis wyskakuje innym otworem już w parę minut potem. Wówczas nie należy strzelać do lisa bezzwłocznie, tylko odpuścić go od jam na kilkanaście kroków i wówczas dopiero strzelić spokojnie. Wtedy strzał będzie pewny. Najwięcej pudłuje się na jamach wskutek za prędkiego i gorączkowego strzelania.

To samo przechodzą początkujący myśliwi przy strzelaniu do podrywających się kuropatw. Strzelają naoślep do stadka i chybiają. Łomot skrzydeł wytrąca ich z równowagi.

Lis strzelony i chybiony przy samych jamach, czyli

za wcześnie, zazwyczaj przestraszony powraca do jam i ponownie wyskoczyć nie chce.

Przy norach o jednym wylocie zdarza się często, że lis atakowany przez psa wyskoczyć nie może, gdyż pies zagradza mu drogę. Trzeba wówczas czekać na ukazanie się psa, przywołać go i uwiązać przy sobie. Następnie z całym spokojem wyglądać pojawienia się lisa, który przy dobrym psie wyskakuje bezpośrednio po opuszczeniu jam przez psa. O ileby jednak lis nie wyskoczył n. p. w przeciągu kwandransa, należy powtórzyć manewr z psem wypędzającym. O ile i drugim razem po uwiązaniu psa lis się nie zjawi, a jamy są płytkie i kopanie możliwe, należy zwolnić psa ułożonego do osaczania, a gdy ten lisa osadzi w kącie, rozpocząć w tem miejscu kopanie.

Gdy w jamach są borsuki, a jamy nie są głębokie i umożliwiają kopanie, wówczas należy też odwołać psa do wypędzania i uwiązać go, zaś do jam puścić psa, jak poprzednio, do osaczenia. Gdy ten zacznie atakować w jednem miejscu, należy w tem miejscu uderzyć parę razy z góry łopatą na płask, wówczas lis czy borsuk, o ile nie jest jeszcze osaczony w końcu chodnika, cofnie się, co umożliwi psu szybkie przyparcie go w kącie.

Gdy się ustali miejsce, w którem pies atakuje stale, należy uczynić przekop w kształcie rowu. Po dokopaniu się do chodnika, należy zasypać otwór chodnika za psem, psa wyciągnąć, a lisa czy borsuka unieszkodliwić przez uderzenie w nos. Następnie trzeba pozwolić psu, by się nacieszył zdobyczą i pochwalić go. Lisa czy borsuka należy wyciągnąć z jamy, a psa posłać z powrotem do kotła, gdyż często się zdarza, że w tym samym chodniku zwłaszcza borsuków może być więcej. Potem kocioł zasypać i wyrównać z góry.

Lisa, kunę, tchórza, wydrę — należy zaraz obciągnąć ze skórki. Nacina się skórę w tyle nóg tylnych, od stóp począwszy, w kierunku ku odbytnicy. Następnie obciąga się tylne nogi ze skóry, ogon też należy rozciąć na całej długości od dołu. Potem tylne nogi, obciągnięte ze skóry, związać i lisa powiesić za nogi, a następnie całą skórę ściągnąć zeń, jak rękawiczkę. Przy łapach trzeba poodcinać pazury wraz ze skórą To samo dotyczy uszu i nosa. Następnie należy skórę odwrócić włosem do środka i rozpiąć ją na prawidłach. Dobrze jest natrzeć stronę wilgotną od wewnątrz popiołem.

Za prawidła mogą posłużyć widełki drewniane (gałęzie) odpowiedniej długości. Należy je ściągnąć do kupy, wsadzić w skórę odwróconą włosem do środka, a następnie rozluźnić je, przez co widełki się rozejdą i wyprężą skórę.

Lis nie obciągnięty zaraz po zabiciu, często obłazi przy garbowaniu nawet całemi płatami.

U borsuka rozcina się skórę wzdłuż nogi i brzucha i zdejmuje się rozciętą. Do wysuszenia należy ją rozpiąć na deskach, włosem do dołu, a krawędzie poumacniać gwoździami. Stronę bezwłosą natrzeć popiołem. Sadło borsucze, dochodzące nieraz, zwłaszcza na grzbiecie, do 3 cm. grubości, należy obkroić i przetopić na tłuszcz, poszukiwany w aptekach. Mięso jak i tłuszcz są w niektórych miejscowościach jadalne, choć mięso z powodu niemiłej woni wymaga odpowiedniej przyprawy.

(Dok. n.). ROBERT LUDWIG.

W SPRAWIE PODNIESIENIA ŁOWIECTWA W NASZYCH KARPATACH

Impuls do napisania niniejszych paru słów dało mi przeczytanie w „I.K.C." wiadomości, że p. Goering przywiózł Panu Prezydentowi R. P. do Białowieży porządnego farbowca z Niemiec.



W Karpatach podczas rykowiska

Czyżby obcemu myśliwemu przyszło na myśl przywozić do pierwszej kniei w Polsce takiego psa kniejowego, gdyby nie poczucie, że przydać się tam on może? Jeżeli w terenie myśliwskim, przeznaczonym par excellence dla najwyższych sfer, takie poczucie mogło się zrodzić, — to cóż dopiero u nas, myśliwych z gór, o najtrudniejszych, najcięższych warunkach karpackich! Tam, gdzie administrator trawi się nad statystyką przyrostu „festmetrów" świerkowych i jodły, a nie nad ewidencją spotkanych pod niemi tropów płowej zwierzyny!

Tak jest!... U nas w Polsce są piękne knieje z najtęższym zwierzem Europy, są i znakomite strzelby, ale, nie mówiąc już o doborowych — niema prawie dobrych psów do kniei.

Dawno już, bo ponad trzydzieści lat odtąd minęło, gdy na telegraficzne wezwanie dzierżawców rewirów państwowych i prywatnych: Jasień, Perehińsko, Suchodół, Spas, Łopianka i Iłemnia (ponad 100.000 ha łącznej powierzchni) — takich myśliwych, jak Potoccy, Tarnowscy, Zamoyscy — wysyłałem z Jasienia, jako łowczy, cały wagon pierwszorzędnych tropicieli karpackich i dziczych tropowców do wskazanych kniei w całym kraju... Dzisiaj mam wrażenie, że takich tropowców, ale i takich tropicieli już niema!... A dlaczego? Bo i ta stara gwardja hodowców łowieckich — ustąpiła z pola.

Tendencja utrzymania poważnych rewirów karpackich w godnych rękach — tak, jakby upadła! Dzisiaj kupczy się w pierwszej linji odstrzałem sztuk jeleni. Tą drogą myśliwych-hodowców się nie wychowa. Prawie powiedziałbym, że tylko z ojca na syna dzierżawiony rewir może produkować tęgich myśliwych Karpat, ci — tęgi personel, a ten dopiero przyswoi sobie znawstwo kniei i dobre psy do niej zaprawi

Na tle powyższych refleksyj, z daru p. Goeringa płynących, nawiązuję do swego artykułu („Łow. Pol." Nr. 3/1937, str. 52) „W kwestji hodowli cerwidów".

Poddaję myśl założenia u nas w Karpatach hodowlanego gniazda pierwszorzędnych psów myśliwskich — tropowców i specjalnych farbowców — i doprowadzenia do obowiązkowego posiadania przez każdy rewir państwowy o znaczeniu myśliwskiem przynajmniej po parze takich psów — w pełni użytkowych.

WŁADYSŁAW BURZYŃSKI

UWAGI O HANDLU WYTŁOCZYNAMI SEZAMU

Wśród pasz treściwych, stosowanych od dłuższego szeregu lat przez rolników w oborach, najdawniej znanemi i spopularyzowanemi były wytłoczyny rzepakowe, jako pochodzące z nasion najliczniej produkowanej w kraju rośliny z grupy oleistych. Obok tych wytłoczyn potrosze wchodzą do spisu paszowego wytłoczyny lniane, które zdobywają sobie szybko pierwsze miejsce pod względem zapotrzebowania hodowców i producentów mleka, jako bogatsze w białko i składniki mineralne, a równorzędnie produkcja lnu w rolnictwie rozwija się coraz wydatniej, mając, obok korzyści z włókien tej rośliny, zapewniony zbyt każdej ilości nasienia do skwapliwie poszukujących go coraz liczniejszych olejarni.

W ostatnim dziesiątku lat zjawiają się na rynku paszowym kolejno coraz nowe wytłoczyny, jak słonecznikowe, kokosowe, sojowe, z orzecha ziemnego i wreszcie z sezamu.

Ta wielka rozmaitość gatunków wytłoczyn z roślin oleistych, stosowanych jako pasza treściwa, w pierwszym rzędzie dla bydła rogatego, wywołała ostrą konkurencję pomiędzy dostawcami hurtowymi, przenosząc ją na rynek hnadlowy detaliczny, niestety, niezawsze w postaci, odpowiadającej etyce handlowej.

Wyniki badań chemiczno-analitycznych, jak również praktycznych doświadczeń w wielkich i znanych w kraju oborach ze wszystkiemi gatunkami wytłoczyn, stworzyły podstawy do stawiania jednych przed drugiemi, szeregowania ich wartości itd. — w zależności od wytyczonych celów stosowania tych pasz przez poszczególnych hodowców lub producentów mleka.

Niezawsze jednak decydowało tu naukowe zbadanie i na tej drodze wydana opinja, ogłaszana w perjodykach rolniczych. I tu, jak w każdej innej dziedzinie gospodarczej, wydatek na czytanie fachowych organów, broszur itp., bywa uważany do dziś jeszcze za zbędny, a zresztą nietylko źle pojęta oszczędność, lecz i wrodzone lenistwo, staje się przyczyną niekorzystania przez szerszy ogół, w granicach całej istniejącej możliwości, z najnowszych zdobyczy naukowych i doświadczalnictwa w dziedzinie różnorodnej produkcji.

Stąd płynie nieuświadomienie na wielu polach, a co za tem idzie, oddawanie się bez reszty wpływowi sprytnie obmyślanej i stosowanej reklamy, poleganie na zapewnieniach niezawsze uczciwych firm handlowych, a jeszcze częściej poprostu pośredników i handlarzy, cieszących się w pewnych kołach, mimo wszystko, niczem niewytłomaczonem zaufaniem.

Punktem decydującym o takim stanie rzeczy bywa najczęściej cena jakiegoś produktu, oferowanego przez szereg konkurencyjnie do siebie nastawionych źródeł sprzedaży. Nie każdy jednak zdaje sobie sprawę, że są produkty, których cena nie może spaść niżej poziomu konjunkturalnego, a jeśli spotykamy jednak od czasu do czasu niczem nieuzasadnione odskoki w dół, dziać się to może wyłącznie w drodze nienaturalnej, w rzadkich wypadkach wywołanej np. przez bankructwo lub ucieczkę od nagromadzonych zapasów towaru, dla osiągnięcia kapitału obrotowego, pozatem — i właśnie najczęściej — przez fałszowanie produktu, zwłaszcza produktu poszukiwanego, którego brak daje się odczuwać na rynku sprzedaży.

Proszę mi wybaczyć ten zbyt może długi wstęp, pozornie nie łączący się z interesami łowiectwa, postaram się jednak całkowicie usprawiedliwić jego znaczenie.

Dzięki doświadczeniom z wytłoczynami różnych nasion oleistych, przeprowadzonemi bardzo skrupulatnie przez Vogta, co niedawno w „Łowcu Polskim" poruszyli nasi znani hodowcy praktycy, okazało się, że wytłoczyny sezamu mogą mieć bardzo celowe zastosowanie w polskich hodowlach zwierzyny płowej, której w niektórych okolicach posiadamy raczej nadmiar ilościowy, nie stojący w żadnym stosunku do wartości karmy naturalnej w łowiskach, jak również do stosunku płci. Oba te błędy, tolerowane w niektórych polkich łowiskach, wywołują stopniową degenerację poroży, a nawet wagi mięsa u hodowanych sztuk.



Wieniec kapitalnego jelenia, ubitego na Pomorzu przez inż. R. Osmólskiego.

Obok selekcyjnego odstrzału, którego stosowanie okazało się w takich łowiskach koniecznem, występuje, jako równorzędne na drodze usiłowań do podniesienia wartości poroża, zalecenie odpowiedniego dokarmiania, stosowanego przez zamiłowanych i uświadomionych hodowców już dość szeroko, jednak, jak dotychczas, usiłowania te nie wszędzie i niezupełnie zdołały rozstrzygnąć tę kwestję. Przeważnie hodowca, ciągle szukając nowych dróg i stosując nowe wskazania (w dziedzinie dokarmiania), a nie osiągając celu, pozostaje dalej bezradnym, a częstokroć zniechęca się całkowicie.

Rezultaty, osiągnięte przez zastosowanie wytłoczyn sezamu przez Vogta, w kształtowaniu się i wadze wieńców jeleni oraz parostków rogaczy, zdają się dowodzić, że został znaleziony najbardziej właściwy i pożądany produkt wśród pasz treściwych, który całkowicie rozwiązał to nader ważne dla naszych hodowców zagadnienie.

Zresztą już dziś mnożą się w sposób nader szybki kierowane do p. inż. St. Kamockiego zapotrzebowania na wytłoczyny sezamu, z czego sądząc, należy przypuszczać, że popyt na ten produkt dojdzie niezwykle wysokiego poziomu w naszych hodowlach zwierzyny płowej.

Nie trzeba w tym momencie zapominać, że sezam jest masowym produktem Chin, Indyj i częściowo tylko Turcji, i że z tego powodu — wobec zawieruchy

wojennej na Dalekim Wschodzie — narazie istnieją poważne trudności importu tego produktu, a także usprawiedliwioną jest w tych warunkach wysoka stosunkowo jego cena.

Wracając do myśli, zawartych we wstępie niniejszego artykułu, uważam za konieczne przedstawić naszemu ogółowi te obawy, jakie nasuwają mi się w danym wypadku. Oto powstaje dogodna konjunktura dla sprzedawców wytłoczyn sezamu przy zasadniczej trudności zdobywania go.

Mniejsza już o wysokie ceny rynkowe w sprzyjającej ku temu konjunkturze. Ktoś, komu potrzebne będzie wino szampańskie dla bliskiej mu chorej osoby, nie zawaha się — gdy go będzie stać na to — zapłacić ceny wyższej, choć jednocześnie cło wwozowe uniemożliwi korzystanie z tego napoju dla przyjemności nawet przeciętnie zamożnym. Ważniejszem jest coś innego.

Obawy moje sięgają czasów mojej praktyki handlowej, kiedy, prowadząc przez 10 lat zgórą syndykat rolniczy jednego z powiatów, znacznie rozszerzyłem zbyt na tej placówce wytłoczyn lnianych, a potem sojowych i orzecha ziemnego, rugując zupełnie zapotrzebowanie na rzepakowe. Pamiętam okresy, kiedy mi brakło tego lub innego makuchu, bowiem zapotrzebowanie krajowe nie pokrywało się w danym momencie z podażą importu, lub z produkcją naszych olejarni. I wówczas — o dziwo — możliwości naszej olbrzymiej instytucji krajowej bywały chwilami dystansowane przez drobne firmy, pokątnych handlarzy, zakonspirowane olejarnie, prawie że „domowe" i nb. przy oferowaniu konsumentom cen o wiele niższych.

Wystarczyło jednak, że oddawałem do analizy taflę z jakiegoś w ten sposób nabytego przez kogoś z klijenteli produktu. Ujawniano mieszaninę z wytłoczynami rzepakowemi, rekonstruowanie tafli zapomocą rozmoczenia, suszenia i mieszania z wytłoczynami spleśniałemi lub zatęchłemi, wreszcie sprzedaż poprostu produktu już w pewnym stopniu nadpsutego. Jasnem się stało, że nieuczciwa konkurencja usiłowała wykorzystać konjunkturę, a niestety, w wielu wypadkach udawało się to jej bezkarnie, choć wyniki mleczności w oborach stawały się nagle niewytłomaczenie gorsze, lub nawet zdarzały się przypadki zapadnięć krów na choroby przewodu pokarmowego, rozwolnienie itp.

Nie sądzę, aby ktoś z hodowców zwierzyny płowej zlekceważyć mógł te wszystkie okoliczności, które tu w tym celu przytaczam, aby ostrzedz przed bezkrytycznym zakupem wytłoczyn sezamu. Uważam zatem, że źródło tego zakupu musi być przedewszystkiem dostatecznie znane i odpowiedzialne moralnie, że nie może tu grać roli żadna „okazja".

I jeszcze na jedno należy zwrócić uwagę. Oto prócz rośliny *Sesamus indicus*, z której otrzymujemy tę doskonałą paszę treściwą dla naszych hodowli zwierzyny płowej, istnieje pokrewna roślina *Sesamus rudiformis*, której wytłoczyny są zasadniczo szkodliwe, to też dopuszczalne jest zaledwie 10% ich przymieszki w paszy pod nazwą kuchu sezamowego.

Pozatem ważnem jest niezmiernie, aby wszystkie próby z tą paszą w naszych łowiskach odbywały się przy użyciu j e d n o l i t e g o produktu.

Jedną z rękojmi dla zakupującego ten produkt będzie przedewszystkiem to, czy oferująca firma (osoba) jest odprzedawcą gotowych wytłoczyn, czy też i m p o r t e r e m n a s i o n, z których w obranej i znanej olejarni, pod własnym nadzorem wytłacza olej (stanowiący pożądany produkt zbytu dla tej ostatniej), dysponując wytłoczynami w celach hodowlano - łowieckich.

Ten system — jeśli chodzi o zdrową kalkulację handlową, a więc i o cenę samego produktu — będzie niezaprzeczalnie również najbardziej praktycznym.

Należy przypuszczać, że p. inż. St. Kamocki, oferując (w artykule, zamieszczonym w Nr. 28 „Łowca Polskiego" p. t. „Doświadczenie z hodowlą sarn i jeleni") zainteresowanym hodowcom swe pośrednictwo w dostarczaniu wytłoczyn z sezamu, jako doświadczony również handlowiec, musiał się wszechstronnie liczyć z obraniem odpowiedniej drogi do sprostania temu zadaniu w niebudzącej żadnych zastrzeżeń i wątpliwości formie.

WŁADYSŁAW ZABIEŁŁO.

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

PROTOKÓŁ WALNEGO ZGROMADZENIA CZŁONKÓW SEKCJI OCHRONY NIEDŹWIEDZIA Z DNIA 6 PAŹDZIERNIKA 1937 R.

Obecni przedstawiciele: Naczelnej Dyrekcji Lasów Państwowych — Inż. H. Knothe, Dyrekcji Lasów Państwowych w Białowieży — M. Doubrawski, Państwowej Rady Ochrony Przyrody — A. Hr. Starzeński, Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego — J. Hr. Bielski i E. Skowroński; członkowie Sekcji: J. Domaniewski, W. Garczyński, J. Gieysztor, M. Tukałło.

Przewodniczący Sekcji, J. Gieysztor, zdał sprawę z działalności Sekcji w r. ub.

Główny postulat Sekcji, dążący do ochrony niedźwiedzia, mianowicie zamknięcie polowania na niedźwiedzia, jak to uczyniono w stosunku do łosi, i udzielanie prawa odstrzału niedźwiedzi tylko indywidualnie przez Ministra Rolnictwa na obszarze lasów państwowych, a przez wojewodów w łowiskach prywatnych — został wreszcie zrealizowany. W dniu 10 grudnia 1936 r. ukazało się rozporządzenie Ministra Rolnictwa i Reform Rolnych, głoszące, iż „Zabrania się całkowicie polowania na niedźwiedzie, łosie - byki, muflony, dropie i dropie - kamionki (strepety)", z zachowaniem w mocy postanowień art. 15 ustawy łowieckiej o uprawnieniach Ministra i Wojewodów do zezwalania na odstrzał w wypadkach poszczególnych. O terminach, w których odstrzał może być dokonany, rozporządzenie to nic nie mówi, natomiast Polski Związek Łowiecki pismem z dnia 2 września 1936 r. zaproponował ustalenie prowizorycznie terminu od 16 lutego do 15 marca, kiedy niedźwiedzie już opuściły gawry i małe niedźwiedziątka, towarzyszące matce, dają możność odróżnienia samicy i jej oszczędzenia. Ministerstwo Rolnictwa, w osobie Naczelnika Wydziału P. Swinarskiego, wyraziło na ten termin swą zgodę.

Przytoczone załatwienie sprawy ochrony niedźwiedzi dało możność Sekcji zapobiedz odstrzałowi niedźwiedzia na terenie dóbr Rzepichowsko-Cholynickich, o które ubiegał się J. Hr. Potocki. Wobec zwrócenia się P.P. Wojewodów Poleskiego i Nowogródzkiego o opinję w tej sprawie, Polski Związek Łowiecki pismem z dnia 30 października 1936 r. wypowiedział się przeciwko daniu zezwolenia na odstrzał, motywując to świeżem dopiero umiejscowieniem niedźwiedzi na obszarze Nowogródczyzny i północnej części Polesia, i przesadą co do rzekomych szkód, czynionych przez niedźwiedzie w inwentarzu i zwierzynie.

Z informacyj otrzymanych od członków Polskiego Związku Łowieckiego widać, że niedźwiedzie rozszerzają swój zasięg na naszych kresach północno - wschodnich. Obok dawnych stanowisk niedźwiedzi w lasach Agarkowa i Hollesa, kilka niedźwiedzi obrało stałą ostoję w lasach Krzywoszyńskich, parę niedźwiedzi osiadło w lasach Ordynacji Dawidgródeckiej, a ostatnio sygnalizują nam pojawienie się niedźwiedzi w powdziśnieńskim w woj. wileńskiem. Chciałoby się wierzyć, że przy dłuższej ochronie rzadki już dziś zwierz ten zwiększy swój stan ilościowy w województwach wschodnich.

Za pośrednictwem członka Sekcji, P. Wł. Burzyńskiego, otrzymano wiadomości o ilości niedźwiedzi w niektórych miej-

scowościach Karpat Wschodnich. Nadleśnictwo Państwowe Jasień komunikuje, iż w 1936 r. widziano w okresie rykowiska jeleni 5 sztuk niedźwiedzi. Do ścierwa, założonego jesienią 1936 r., przychodziła samica z piastunem, wiosną zaś 1937 r. słaby pojedynek (szerokości stopy 14 cm.). W lecie widziano na połoninach 2 sztuki. Podczas tegorocznego rykowiska spotkano tylko jednego niedźwiedzia. Gawry na terenie nadleśnictwa nie zauważono.

W dobrach stołowych Kurji Metropolitalnej Perehińsko liczbę niedźwiedzi ustalono na 100 sztuk, opierając się na obserwacji w poprzednim roku 30 niedźwiedzic z małemi. Na obszarze dóbr stołowych niedźwiedzie zabiły w r. ub. 4 woły i dwa konie, zaś w r. b. — 5 wołów i 3 konie.

W uzupełnieniu przytoczonych danych, P. E. Skowroński przytoczył informacje o ilostanie niedźwiedzi w Karpatach Wschodnich, zdobyte w drodze osobistego wywiadu. W lasach państwowych stan niedźwiedzi określić można na 100 — 120 sztuk, na terenie Grecko-Katolickiej Kurji Metropolitalnej Perehińsko ilostan wynosi 80 — 100 niedźwiedzi, w lasach Sołotwiny — 10 sztuk, na tyleż obliczać można ilość niedźwiedzi na obszarze fundacyj Skarbkowskiej oraz Hr. Baworowskich; natomiast dane otrzymane ze Skolego, a określające ilość niedźwiedzi na 42 sztuki, z Wełdzisza na 46 sztuk i z Menmalstala (Goduli) — 22 sztuki, wzbudzają pewne wątpliwości. Biorąc pod uwagę, że w 1935 r. też same obszary liczyły: Skole — 30 sztuk, Wełdzisz — 23 sztuki i Godula — 8 sztuk, dla uniknięcia przesady ostrożniej jest przyjąć łączną ilość niedźwiedzi na tych 3-ch obszarach na 80 sztuk. Razem przeto ilostan niedźwiedzi w Karpatach Wschodnich określić się da na 280 sztuk. Łącznie z niedźwiedziami województw północno - wschodnich stanowi to 300 sztuk tej pięknej zwierzyny na obszarze Rzeczypospolitej. Z tej ogólnej ilości przyznano przez Ministra Rolnictwa prawo odstrzału w r. b. 3 sztuk w dobrach Perehińsko.

W zakresie hodowli niedźwiedzi P. Dyr. Doubrawski zakomunikował o decyzji lasów państwowych wprowadzenia niedźwiedzia do Puszczy Białowieskiej oraz P. M. Tukałło — o podobnem postanowieniu ordynata L. Ks. Radziwiłła — zaprowadzenia z powrotem niedźwiedzia do lasów nieświeskich. Osiągnięcie tego zamierzenia może być zrealizowane bądź w drodze sprowadzenia młodych niedźwiadków z Rosji europejskiej, czy z ogrodów zoologicznych, bądź też osadzenia niedźwiedzicy ciężarnej. Pertraktacje w obu kierunkach zostały już nawiązane, przyczem Białowieża oczekuje nadejścia transportu z niedźwiedzicą z ogrodu poznańskiego już za parę tygodni, zaś P. Tukałło wszedł w kontakt z ogrodem zoologicznym w Zamościu, gdyż niedźwiadki warszawskie mają domieszkę krwi syryjskiej. Przy zamawianiu niedźwiadków z Rosji zastrzedz również należy, aby nie pochodziły one ani ze skrajnej północy, ani z Kaukazu, by w ten sposób nie utrudnić ich aklimatyzacji u nas. Młode niedźwiedzie należy czas jakiś przetrzymywać w klatce, potem wpuszczać do ogrodzenia i dopiero następnie wypuszczać na wolność, aby je w ten sposób stopniowo do miejsca przyzwyczaić.

Przechodząc do terminu odstrzału niedźwiedzi, Sekcja stwierdziła przedewszystkiem, że odstrzał nie powinien być jeszcze przez czas dłuższy udzielany ani w Tatrach, ani na Polesiu czy Nowogródczyźnie, aby w ten sposób umożliwić osiedlenie się tam na stałe nielicznych jeszcze niedźwiedzi. Natomiast w stosunku do Karpat Wschodnich uznano za usprawiedliwione dozwalanie odstrzału niedźwiedzi w pewnych wypadkach i ściśle indywidualnie z uwagi zarówno na dość znaczny ilostan tego zwierza, jak na słuszność wynagrodzenia właściciela łowiska za jego ochronę, jak wreszcie z uwagi na potrzebę usunięcia pewnych osobników rodu niedźwiedziego, specjalnie napastujących bydło i konie.

Co się tyczy terminu, w jakim podobny odstrzał może być dozwolony, to po dłuższej i ożywionej wymianie zdań, Walne Zgromadzenie członków Sekcji przyszło do jednomyślnego przekonania, że takim terminem powinien być okres od 1 października do 15 grudnia każdego roku. Z jednej bowiem strony umożliwia on właścicielom czy dzierżawcom terenów łowieckich w górach połączyć polowania na jelenie podczas rykowiska (w ciągu września) z zaraz potem następującym okresem możności ubicia niedźwiedzia, zaś z drugiej strony, daje możność myśliwym, interesującym się tylko niedźwiedziem, zapolowania nań bezpośrednio przed ułożeniem się niedźwiedzia do gawry, a więc w okresie, kiedy ma on najlepsze futro. Ustalony prowizorycznie termin odstrzału — od 16 lutego do 15 marca — jest o tyle niedogodny, iż polowanie w tym okresie nastręcza w górach ogromne trudności, a pozatem niedźwiedź, wstający w tym czasie z gawry, jest wycieńczony długotrwałym postem i udaje się niezwłocznie na południowe stoki Karpat, aby tam w odtajałych potokach szukać wodorostów, które przeczyszczają zmartwiały żołądek i pozwalają na rozpoczęcie normalnego odżywiania, o które też łatwiej jest w tej porze na południu. Ta właśnie okoliczność jest powodem dużych strat w ilostanie polskich niedźwiedzi, gdyż czescy i rumuńscy myśliwi, wyzyskując tę wędrówkę naszych niedźwiedzi na południe w okresie wczesnej wiosny, odstrzeliwują je w znacznych ilościach, nie będąc pod tym względem skrępowani własnemi przepisami ochronnemi.

W uwzględnieniu tego stanu rzeczy, grożącego faktycznem anulowaniem naszych zabiegów o ochronie niedźwiedzia, Walne Zgromadzenie postanowiło zwrócić się do wszystkich instancyj, mogących wywrzeć wpływ na zmianę istniejących stosunków, z domaganiem się uzgodnienia terminów i warunków ochrony niedźwiedzia karpackiego na pograniczu polsko-czeskiem i polsko-rumuńskiem. Za takie instancje uznano przedewszystkiem Ministerstwa tych trzech krajów, mające w swej pieczy łowiectwo, dalej ich centralne organizacje łowieckie oraz organizacje ochrony przyrody, wreszcie Międzynarodową Radę Łowiecką, jako instytucję powołaną statutowo do regulowania rozbieżności w ustawodawstwie łowieckiem krajów ościennych.

Równocześnie jednak uznano za wskazane, żeby właściciele terenów ze stanowiskami niedźwiedzi ułatwili im otrzymanie na miejscu roślin i jagód przeczyszczających, przez zasadzanie w lasach np. jarzębiny, posiadającej tę właściwość w wysokim stopniu.

Przewodniczący Zebrania i Sekcji:

JÓZEF GIEYSZTOR

ODSTRZAŁ ŁOSI W DAWIDGRÓDCZYŹNIE

Obliczenie stanu łosi w Ordynacji Dawidgródeckiej w zimie roku 1936/37 z powodu braku śniegu nie mogło być dokonane, jednakże według słów wszystkich myśliwych, którzy w tym roku polowali w czasie wabu łosi, ilość ich jest bardzo duża. W okresie zimy roku bieżącego będą przedsięwzięte starania dokonania obliczenia, istnieje jednak obawa, że będzie to sprawa trudna, gdyż jest ich już zbyt wielka ilość.

W roku 1936 otrzymano zezwolenie na odstrzał 9 sztuk łosi byków; odstrzelone zostały 4 sztuki.

W roku 1937 otrzymano zezwolenie na odstrzał 10 sztuk łosi, odstrzelone zostało 10 sztuk, a mianowicie:

1) Książe Ordynat Karol Radziwiłł w dniu 29/7.37 r. zabił łosia 6/6 pasemek (odstrzał selekcyjny).

2) Książe Ordynat Karol Radziwiłł w dniu 14/9.37 r. zabił łosia 5/4 pas.

3) J. E. Sir Percy Loraine w dniu 2/9.37 r. zabił łosia 3/4 pas.

4) Książe Janusz Radziwiłł w dniu 8/9.37 r. zabił łosia 4/5 pas.

5) Pan Karol Ender w dniu 12/9.37 r. zabił łosia 8/9 pas.

6) Hrabia Benedykt Tyszkiewicz (junior) w dniu 14/9.37 r. zabił łosia 6/6 pas.

7) Pan Generał Kazimierz Sosnkowski w dniu 15/9.37 r. zabił łosia 4/4 pas.

8) Pan Generał Kazimierz Sosnkowski w dniu 19/9.37 r. zabił łosia 6/5 pas.

9) Hrabia Andrzej Potocki w dniu 7/9.37 r. zabił łosia 7/7 pas.

10) Książe Ordynat Karol Radziwiłł w dniu 25/IX.37 r. zabił łosia 13/10 pas.

Z PRASY ZAGRANICZNEJ

WILD UND HUND

Nr. 28/1937, str. 441 W. Gemauer *„Polowanie na zające"*. — Z dwóch rodzajów polowań na zające: zbiorowego z naganką i w pojedynkę na pomyka, pierwsze ma ze stanowiska hodowlanego tę wyższość, iż odbywa się ono na danym terenie tylko raz do roku, a więc mniej niepokoi zwierzynę. O ile jednak właściciel łowiska nie wydeptuje tego samego terenu zbyt często, polowanie na pomyka nie jest szkodliwe dla zwierzostanu, a ma niewątpliwie dużo uroku dla myśliwego, któremu niezawsze dogadza liczne, hałaśliwe i niezawsze zgrane towarzystwo. Najprzyjemniejszem w polowaniu na pomyka jest wypatrywanie zająca, zalegającego w bróździe czy kotlinie. Wymaga to pewnej wprawy i dobrego wzroku, który może zresztą zastąpić lornetka. Wypatrzonego zająca nie należy podchodzić wprost, ale mijać go pozornie, zbliżając się jednak ciągle. Zaleca się przytem nie patrzyć uparcie na warującego szaraka, gdyż śledzi on pilnie za myśliwym. O ile strzał do boku zająca jest skuteczny, to strzał z tyłu jest najczęściej zawodny z uwagi na mocną budowę pośladka. To też do pomykającego z przed myśliwego kota strzelać należy tylko z bliskiej mety. Dużem urozmiceniem polowania na pomyka jest towarzystwo dobrze ułożonego psa, który nietylko wytropi kota w gęstem podszyciu, ale i dostanie postrzałka. Pamiętać jednak trzeba, że dochodzenie szybkonogiego zająca wymaga od psa wielkiego wysiłku, to też nie należy psa puszczać za lekko postrzelonym kotem częściej, niż raz lub dwa razy w ciągu dnia.

Polowania zbiorowe na zające mogą odbywać się bądź w postaci kotłów w polu, bądź pędzeń, bądź wreszcie ławą. Ogólną zasadą wszystkich tych rodzajów polowań jest unikanie nadmiernej ilości myśliwych, zarówno dlatego, aby zapobiedz ostrzelaniu wszystkich zajęcy i zapewnić możność pozostawienia na rok przyszły dostatecznej ilości zwierzyny, jak też celem zapobieżenia sporom pomiędzy myśliwymi, nieuniknionym przy gęstem ich rozstawieniu. W tym celu przy kotłach np. wskazanem jest zachowanie początkowej odległości pomiędzy myśliwymi, poczynając od 300 metrów, przy pędzeniach i ławie od 50 m., przytem pożytecznem jest nawet wzbronienie strzału do zajęcy, które przez ławę się przemknęły. O ile za nieetyczne uważa się przy polowaniach w kotły robienie t. zw. gruszki, t. j. pozostawanie w tyle od koła, aby w tę lukę kierować miotające się w kotle koty, to nie należy protestować przeciwko odsunięciu przez myśliwego od siebie naganiaczy, gdyż jakkolwiek i to stwarza lukę, do której zające mogą zdążać, to jednak równocześnie stwarza się możność przerwania ich poza linję bez strzału, albo też przywarowania i wymknięcia się już po zamknięciu koła. Przy strzałach do wyrywających zajęcy pamiętać trzeba o konieczności dużego zakładania naprzód, aby uniknąć pudła lub przykrego kaleczenia zwierzyny. Przy pędzeniach należy zachowywać się na stanowisku spokojnie i o ile można nie ruszać się, gdyż zając, podobnie jak każda zwierzyna, ma wzrok doskonały i może łatwo zmienić kierunek biegu, omijając niespokojnego strzelca.

DEUTSCHE JAGD

Nr. 26/1937 str. 571 Bruns *„Bażant pomocnikiem rolnika"*. — Pożyteczna rola kuropatw dla kultur rolnych, jako niszczycieli szkodliwych owadów i nasion roślin zachwaszczających rolę, jest powszechnie znana i doceniana nawet przez drobnych rolników-włościan. Inny jest jednak stosunek włościan do bażantów. Sztucznie u nas hodowana, nieraz z dużym nakładem kosztów, zwierzyna ta uważana jest przez włościan za pasożyta tem szkodliwszego, że nienawykła do pożywienia urozmaiconego żywi się głównie ziarnem, czyniąc przeto szkody w zasiewach. Autor w szeregu publikacyj starał się zwalczyć to uprzedzenie, nie osiągając jednak większego efektu, zwłaszcza wśród drobnych rolników, którzy skłonni byli widzieć w tej akcji obronę właścicieli bażantarni przed odszkodowaniem. Ostatnio przeto p. Bruns wszedł na drogę dokumentarnego przekonywania niewiernych. Kiedy bowiem sąsiad-włościanin przyszedł do niego ze skargą, iż stado bażantów wpadło w jego pszenicę i niszczy plon całorocznej pracy, p. Bruns udał się z nim w pole, odstrzelił ze stada 2 koguty i wypatroszył je w obecności pokrzywdzonego. Zawartość obficie wypełnionych woli składała się, ku zdumieniu chłopa, z robaków, dżdżownic, chrząszczy rozmaitej wielkości, korzonków i nasion chwastów, drobnych kamyków, nawet 1 ogonka mysiego — i 16 ziarn pszenicy, pomimo, że bażanty pasły się w pszenicy parę godzin. *J. G.*

MIĘDZYNARODOWE ZAWODY STRZELECKO-MYŚLIWSKIE.

Listopad r. b. przynosi aż dwie międzynarodowe imprezy na standach rzutkowych i gołębich.

I. W dniach 13 i 14 listopada odbędą się w Wannsee, pod Berlinem zawody w strzelaniu do rzutków o mistrzostwo Niemiec. Strzelanie obejmuje pierwszego dnia 5 seryj po 20 rzutków, drugiego dnia 6 seryj (10 — 20 — 20 — 20 — 20 — 10) przyczem ostatnia dziesiątka ze stanowisk Nr. 2 i 4 — wszystko z 15 m.

60% zawodników otrzyma nagrody honorowe.

Zgłoszenia przyjmuje: Buro Schutz — Berlin SW 19 Neue Grunstr. 18.

II. W dniach od 23 listopada do 10 grudnia odbędą się w San Remo strzelania do gołębi na nowych standach o szereg nagród pieniężnych, których łączna suma wynosi 350.000 lirów.

Wszelkich informacyj udziela Zarząd Uzdrowiska San Remo: Azienda da Autonoma Unica di Soggiorno.

KRONIKA MYŚLIWSKA

— W dniu 24 października r. b. odbyło się polowanie na terenach Kółka Łowieckiego „Cyranka", na którem ubito: 3 lisy, 1 rogacza, 65 zajęcy, 15 bażantów, 3 kuropatwy, oraz 2 zdziczałe koty.

— Dnia 1 września r. b. odbyło się polowanie na kuropatwy u p. Tadeusza Kurnatowskiego w Sobiałkowie w 6 strzelb, na którem ubito 426 sztuk. Najwięcej na rozkładzie miał p. Stanisław Kamocki z Tworzanic — 147 podniesionych kuropatw.

— Dnia 25 września r. b. odbyło się trzecie z rzędu polowanie u hr. Jana Żółtowskiego w Strzelcach Wielkich w 12 strzelb na pędzone kuropatwy. Ubito 400 sztuk, przyczem najwięcej miał na rozkładzie p. Stanisław Kamocki (66 sztuk).

— Dnia 18 i 19 października r. b. odbyło się polowanie na pędzone kuropatwy w Sarbinowie i Szczurkowie, dobrach ks.ks. Adama i Romana Czartoryskich, na którem ubito ca 300 kuropatw.

Pierwszego dnia najlepszy wynik miał p. Stanisław Kamocki, drugiego dnia p. Jerzy Radoński.

— Dnia 19 października r. b. odbyło się polowanie w laskach i remizach u hr. Benedykta Żółtowskiego w Godurowie. Przy bardzo nieprzyjających warunkach w tem doskonałem łowisku ubito 128 sztuk zwierzyny, przyczem najlepsze i równe rezultaty mieli M. hr. Czarnecki z Ruska i p. Stanisław Kamocki z Tworzanic.

TREŚĆ NUMERU.

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Łowiecki.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Łowieckiego tel. 6-66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 607-98. KONTO P. K. O. 8082.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa